Nr. 19. Warszawa, dnia 12 Maja (30 Kwietnia) 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2. k. 50**, rocznie rs. **10.**

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PRZEŁOM EKONOMICZNY.

Rok obecny kapitalistom przynosi mnóstwo niespodzianek. Przed paru miesiącami rząd francuski przeprowadził jednę z większych konwersyj. Około 15 miliardów franków 5-procentowej pożyczki wycofano z obiegu i zamiast niej wypuszczono rentę 4%. Skarb publiczny na tej operacyi skorzystał rocznie do 70 mil. franków skutkiem zmniejszonego procentu, tj. podatki, ciążące na mało zamożnych warstwach społeczeństwa, zostały w przyszłości o taką sumę zmniejszone. Rząd ruski również przystępuje do skonwertowania pewnej części swoich długów według niższej stopy procentowej.

Zamierzona konwersya jest bardzo poważną. Obejmuje ona te papiery 5-procentowe, które nie uległy konwersyi w r. 1891. A zatem w tej liczbie znajdujemy bilety Banku państwowego pierwszej i drugiej emisyi oraz obligi pożyczki wschodniej także pierwszej i drugiej emisyi, ogółem wartość nominalną, przewyższającą z górą miliard rubli. Zamiast tych przeszłych zobowiązań skarb wypuści 4-procentową ujednostajnioną pożyczkę. Zresztą konwersyi podlegnie nie cała owa kwota, tylko pewne jej części, mianowicie będzie wycofaną z obiegu suma starych pożyczek, nie mniejsza od 500 i nie większa nad 700 milionów rubli w nominalnej wartości nowej 4-procentowej renty. Ograniczenie to zrozumiałe jest wobec ogromu dokonywanej przez skarb czynności i zawiera zapowiedź dalszej konwersyi, która wycofa resztę renty dawnej, dzisiaj nieskonwertowanej. Gdyby zaś kapitaliści nie pospieszyli z odpowiedniem zaofiarowaniem, wtedy ta niewymieniona kwota 4% emisyi, której będzie brakować do sumy 500 milionów w ręku państwa, będzie sprzedaną po cenie nie mniejszej od 92½ za nominalną wartość 100 rubli i dochód obrócony na wycofanie papierów dawnej renty w odpowiednim rozmiarze. Zamiana będzie odbywała się w ten sposób, że ulegające wycofaniu papiery będą przyjmowane po kursie nominalnym i za to nowa renta dawaną po kursie 92½, tj. za każde 100 starej konwertujący kapitalista otrzyma 108,10 (a nadto procent za czas do czerwca b. r.) w nowej emisyi. Ustanowiony kurs 92½ jest obliczony niżej, aniżeli należało, gdyż państwowe papiery 4-procentowe stoją na giełdzie ponad 95, ale skarb pragnie tym dodatkiem zachęcić kapitalistów do konwersyi. Nadto wyznaczono jeszcze inną premię, zależną od czasu wymiany; ci, którzy wcześniej pospieszą z konwersyą, otrzymają ją w większej kwocie, spóźniający się — w mniejszej lub wcale z niej nie skorzystają. Nie zatrzymujemy się nad innymi szczegółami natury technicznej; zaznaczymy tylko, że rząd ruski względem nowej renty zastrzega sobie prawo dowolnego jej umorzenia, jak to odbywa się wszędzie za granicą, w czasie dla siebie najdogodniejszym — całkowicie lub częściowo.

Tak się przedstawia zamierzona operacya. Odpowiednio do rozmiarów, w jakich będzie dokonaną, da ona skarbowi mniejszą lub większą oszczędność i tem samem w odpowiednim stopniu ulży ciężarom, któreby spadły na mniej zamożne warstwy państwa. Ale po za tem swojem znaczeniem posiada jeszcze inne, daleko donioślejsze, mianowicie nada kapitałowi krajowemu większą ruchliwość z jednej strony, z drugiej zaś pozwoli dłużnikom w całem państwie nieco obniżyć stopę uiszczanego warstwie rentierskiej haraczu. Pożyczka bowiem państwowa jest niejako regulatorem, normującym poziom daniny procentowej w kraju. Jeżeli konwersya się uda, będzie to świadectwem, że i prywatny dłużnik, uiszczający dzisiaj jakieś 8% od kapitału wypożyczonego, zdoła sprowadzić tę stopę do 7% a nawet niżej. A zatem na całej linii rentjerskiej nastąpi w całem państwie pewna zniżka. Kapitał, który bezczynnie pobierał pewne odsetki, a teraz został zagrożony, że tak miły kąsek wyślizgnie się z jego rąk, pomyśli o zyskowniejszych warunkach lokacyi. Przysłowie angielskie powiada, że kapitalista, kiedy pobiera 5%, jest dość lękliwego serca, przy 10% nabiera animuszu, kiedy błyśnie mu nadzieja 20%, staje się odważny jak awanturnik średniowieczny, wreszcie kiedy stopa spadnie w odwrotnym kierunku do 2%, gotów się imać wszystkiego, aby tylko uczynić swoje złoto płodniejszem. Otóż ogólna zniżka procentu, pobieranego przez rentjerów, sprawi to, że te procedery i zawody, do których kapitał nie napływał, ponieważ dawały taki sam haracz i jeszcze wymagały zapobiegliwości i krzątania się, teraz będą inaczej cenione. Z chwilą, kiedy stopa hypoteczna spadła, ta i owa dusza kapitalistyczna, która w bezczynności zjadała odsetki, zacznie myśleć, że warto nieco pokrzątać się i znojem zrosić swoje czoło, byleby tylko posiadać o jeden procent liczniejsze potomstwo ze swego funduszu. Zniżka zatem renty państwowej zapłodni kapitały życiem: z hypotek rzuci je do przedsiębiorstw, lichwiarzy hypotecznych zamieni na przemysłowców, zwiększy wzajemną konkurencyę a w tem współzawodnictwie produkt spadnie w cenie — objaw jaknajprzyjemniejszy i najbardziej pożądany dla szerokich kół spożywczych.

A zatem dokonywana konwersya nie tylko zmniejsza łup, pobierany przez rentjerów ze społeczeństwa w formie kuponów od długu państwowego i wysokich odsetek od prywatnego, ale nadto wzmoże przemysł krajowy i sprowadzi dalsze skut-

ki, związane z rozwojem ruchliwości produkcyjnej. Jest to w całem znaczeniu słowa cios zadany zarówno żarłoczności rentjerów, jako też ich bezczynności.

Ż.

Z AUSTRYI.

Trzęsienia ziemi polityczne. — Miesiąc miodowy koalicyi i jego zakończenie. — Los reformy wyborczej. — Hr. Schönborn a lewica. — Reformy prasowe. — Starcie między polakami a lewicą. — Popłoch w klubie Hohenwarta. — Koalicya trzy razy ocalona. — Gabinet konkurencyjny.

Koła polityczne, wchodzące w skład koalicyi, znajdują się od pewnego czasu w nastroju podobnym do stanu moralnego mieszkańców Aten, począwszy od chwili, w której ci ostatni uczuli po raz pierwszy złowrogie wstrząśnienie pod swemi stopami. Od czasu do czasu grunt, na którym hr. Hohenwart wybudował sztuczny gmach większości obecnej, chwieje się lekko. Na szczęście każde z tych wstrząśnień szybko przemija. Pozostawia ono jednak u członków stronnictw koalicyjnych wrażenie, że gdyby potrwało o kilka sekund dłużej, wówczas na widowni politycznej nie zostałoby nic, prócz gruzów i trupów. Wszyscy czują dziś dokładnie, że pod cienką skorupą, jaką przedstawia zlepek egoizmów klasowych, nazwany koalicyą, wre żar tłumiony wzajemnej nienawiści i żądz nienasyconych, który lada dzień grozi wybuchem.

Uświadomiło się to po raz pierwszy każdemu przy sposobności, dostarczonej przez rozporządzenie ministra sprawiedliwości, hr. Schönborna, o konfiskacie dzienników. Z chwilą, w której hr. Schönborn powstał z ławy ministrów, aby uzasadnić owe rozporządzenie przed parlamentem, zakończył się pierwszy okres dziejów koalicyi, który możnaby nazwać jej miesiącem miodowym. Aż do tego czasu wszystko szło jak najlepiej. Godnego zakończenia dla okresu tego dostarczył był o kilka dni przedtem poseł Jędrzejowicz swym wnioskiem, aby odroczyć obrady nad reformą wyborczą na czas nieograniczony i pozostawić rządowi inicyatywę w tej sprawie. Wniosek ten został przyjęty przez komisyę parlamentarną, a tem samem kwestya reformy wyborczej, nakształt piłki, którą bawi się dwojo żaków, ciskana tam i napowrót, znikła nareszcie z oczu świata i spoczęła w jakimś ciasnym kącie archiwów ministeryalnych. Rząd przyrzekł wprawdzie odnaleźć ją tam i przedstawić znowu parlamentowi, ale nie określił nigdy czasu, w którym to uczynić zamierza i wie, że nikt go o to naglić nie będzie. Cel koalicyi byłby więc osiągnięty. Udało się zażegnać nareszcie niebezpieczeństwo, grożące burżuazyi austryackiej od jesieni przeszłego roku. Reforma wyborcza, najfatalniejsza część spadku, objętego przez gabinet obecny po hr. Taaffem, znikła z widowni politycznej. Wodzowie trzech stronnictw parlamentarnych i członkowie gabinetu mogliby byli odetchnąć swobodniej, gdyby nie okoliczność, że pomyślny ten rezultat da się utrzymać tylko dopóty, dopóki istnieć będzie obecny stan rzeczy. A właśnie co do trwałości tego stanu zaczęły budzić się równocześnie poważne wątpliwości.

Wywołał je, jak rzekłem, hr. Schönborn swem rozporządzeniem o konfiskacie dzienników. Rozporządzenie to zawierało pewne ograniczenia i tak dość szczupłej swobody prasy austryackiej. Minister sprawiedliwości oznajmił mianowicie prokuratoryom państwa, że mają one wprawdzie po dokonanej konfiskacie wskazać pytającym się o to redaktorom artykuł czasopisma, za który jej dopełniono, lecz nie powinny nadal, jak czyniono dotąd, wskazywać ustępów, które były bezpośrednim powodem konfiskaty. Jeśli jednak redaktor lub wydawca drugiego wydania czasopisma użyje na demonstracyę przeciw rządowi i w tym celu albo zostawi próżne miejsce tam, gdzie był poprzednio usunięty artykuł, albo na niem napisze: „skonfiskowano,“ albo wreszcie zamaże, to prokuratorya później nie jest obowiązana wskazywać artykułu, za który nastąpiła konfiskata, czyli innemi słowy, może za ten sam artykuł lub ustęp konfiskować gazetę niezliczoną ilość razy, póki nie uda się redaktorowi odgadnąć jej intencyi.

Rozporządzenie to wywołało okrzyk zgrozy wśród prasy wszelkich obozów, która aż do tej chwili pełniła dobrowolnie służbę u nowego gabinetu. Stronnictwo liberalno-niemieckie struchlało w pierwszej chwili na widok kroku rządowego, nacechowanego tak widocznie dążnością reakcyjną. Powstało zamieszanie ogólne, wśród którego zaszedł wypadek bardzo niemiły. Członek opozycyi, młodoczech Pacak, zaproponował, aby nad projektem ministra przejść do porządku dziennego, a lewica niemiecka, zapominając zupełnie o nowych swych obowiązkach, głosowała za tym wnioskiem, który wskutek tego przeszedł. Można wyobrazić sobie, jak niemiłą niespodzianką musiało być dla Plenera, gdy ujrzał odrazu własnych swych stronników w szeregach opozycyi. Jeszcze bardziej zdziwieni byli niezawodnie sami członkowie lewicy, gdy znaleźli się odrazu obok swych wrogów i spostrzegli, że zadali rządowi cios niebezpieczny, który wedle pojęć parlamentarnych powinien był wywołać przesilenie gabinetowe. Na szczęście hr. Taaffe postarał się w ciągu kilkunastoletnich swych rządów właśnie o to, aby spraw parlamentarnych w Austryi nie brano nigdy ściśle. Udało się więc jeszcze uratować zagrożoną sytuacyę i nakłonić obie strony, zarówno rząd jak i lewicę, do odwrotu. Liberałowie niemieccy, przerażeni własną swą śmiałością, dokonali tego odwrotu w największym popłochu, nie ratując nawet pozorów. Hr. Schönborn cofnął się spokojnie i z godnością, a nadto powetował sobie sowicie niemiłe uczucie doznanej klęski. Odwołał on wprawdzie rozporządzenie, które stało się jej przyczyną, ale równocześnie wystąpił w imieniu rządu z oświadczeniem zasadniczem, dotyczącem zamierzonej oddawna reformy ustawodawstwa prasowego. Oświadczenie to jest niedwuznaczną odmową na życzenia, wygłaszane w tej kwestyi od lat wielu przez liberałów. Między życzeniami temi stało w pierwszym rzędzie zupełne zniesienie konfiskat. Otóż hr. Schönborn oświadczył obecnie, że gotów jest znieść konfiskaty, ale tylko o tyle, o ile parlament ze swej strony ograniczy działalność sądów przysięgłych i wyłączy od niej pewne przestępstwa prasowe. Ma się rozumieć, że parlament nie zgodzi się nigdy na ten warunek, a wobec tego przyrzeczenie rządowe, udzielone pod zastrzeżeniem powyższem, równa się stanowczej odmowie.

Również odmówił rząd zniesienia istniejącego dotychczas w Austryi zakazu kolporterki i zgodził się tylko na usunięcie

---

Henrik Pontoppidun *).

ORLE GNIAZDO.

Ponad małą wioską sterczała wysoka, naga skała, tak prostopadle wznosząca się w powietrze, że żaden człowiek nie zdołał jeszcze nigdy wspiąć się na jej śliski szczyt. Na szczycie tym rodzina orłów uwiła sobie gniazdo, o gnieździe tem napisał Björnstjerne-Bjornson małą powiastkę, którą ja jednak w nieco odmiennej zasłyszałem formie i którą przeto opowiem.

Na szczycie więc tej skały rodzina orłów uwiła sobie gniazdo i od niepamiętnych czasów para tych wielkich, brunatnych ptaków była postrachem całej okolicy. Już to napastowały kozy i owce, pasące się spokojnie na odległych łąkach, już to wypijały oczy pastuszkom, usiłującym bronić kijami swojej trzody; zdarzało się nawet, że porywały dzieci, bawiące się na placu przedkościelnym, unosząc je het, wysoko, ponad skałę i ciskając niemi potem w dół tak, iż się rozbijały o strome szczyty. Zdawien dawna odważna młodzież dumnie marzyła o tem, aby się wspiąć ku gniazdu, wypędzić zeń rabusiów i wreszcie zapewnić wiosce spokój. Chłopcy wprawiali się też od dziecka we wchodzenie i spuszczanie się po ścianach skał, wskutek czego nigdzie nie było tylu śmiałych, dzielnych, co tu junaków. Rzadko kiedy doszedł młody lat dwudziestu, nie zakosztowawszy przedtem niebezpieczeństw wycieczki ku orlej skale; odmawiano bowiem miejsca w gronie mężczyzn i pozwolenia na nocne schadzki z kochaną dziewczyną temu, kto nie złożył dowodów odwagi w walce z wrogiem.

Jednak gniazda nie dosięgnęli nigdy. Jedni dochodzili tylko do pierwszej wystającej krawędzi grzbietu, gdzie na widok sterczącej pod nimi, jakby pika wieży kościelnej, dostawali zawrotu głowy. Inni wspinali się szczęśliwie do połowy drogi; gdy jednak stąd dalej wznosić się usiłowali, kruchy łupek usuwał się z pod nóg — i z podwójną szybkością ześlizgiwali się po stromym grzbiecie, spadając na ziemię z połamanymi członkami i pękniętą czaszką. Jeden junak tylko zdołał wspiąć się aż na trzecią krawędź; tu jednak nagle przechylił się w tył, jak gdyby przez niewidzialną dłoń jakąś w piersi pchnięty. Jak ptak postrzelony mignął z krzykiem w przestrzeni, spadał z opoki na opokę, aż wreszcie, poszarpany na trzy części, stoczył się do wioski.

Podówczas właśnie nowy pastor objął parafię. Dowiedziawszy się o niedorzecznej walce ludności z orłami, zaczął niebezpieczną tę igraszkę strofować z kazalnicy.

— Bóg to — mówił — Bóg doświadcza was w mądrości swojej; nikomu bezkarnie przekraczać nie wolno granic, które on człowiekowi zakreślił.“ A wskazując gniazdo orle, dodał, że i jemu Bóg miejsce tu wyznaczył, aby było dla gminy znakiem istnienia sił, urągających staraniom człowieka.

— Bo dobrze jest, aby cośkolwiek przynajmniej spoczywało tak wysoko, iżby dłoń ludzka wyżyn tych dosięgnąć nie mogła!

Dla starych przemowa pastora była wodą na ich młyn. Nie było też w wiosce domu prawie, dokądby nie przyniesiono ze skały syna — kaleki, lub gdzieby sędziwi rodzice zgonu podpory i pociechy swojej starości nie opłakiwali. Lecz wśród młodzieży słowa pastora posłuchu nie znalazły. Zdawało się, jakoby stromy szczyt przyciągał ją ku sobie z nieprzezwyciężoną mocą i nie dalej też, jak w najbliższą niedzielę, rozeszła się wieść, że ośmnastoletni chłopak, jedyny syn biednej wdowy, przedsięwcźmie wycieczkę ku gniazdu.

*) Nowelista duński, ur. w r. 1857, autor wielu znakomitych opowiadań wiejskich.

kaucyj dziennikarskich, dodając i tu warunek, że sąd, orzekający w procesie prasowym, ma oznaczać z góry kwotę, którą należy złożyć jako ubezpieczenie grzywny i kosztów i że, w razie gdyby jej nie złożono w ciągu trzech dni, władze bezpieczeństwa mają prawo zawiesić wydawnictwo aż do wniesienia kaucyi nowego rodzaju. Ustępstwo to wygląda prawie na żart, którymby hr. Schönborn chciał zemścić się na liberałach niemieckich za poprzednie ich wystąpienie. Tym razem jednak stronnicy Plenera, pouczeni doświadczeniem i świadomi swych obowiązków koalicyjnych, nie podjęli rękawicy, rzuconej im przez ministra konserwatywnego. Skończyło się na kilku zjadliwych artykułach pism wiedeńskich, a reforma ustawodawstwa prasowego poszła w kąt, gdzie spoczywa obok reformy wyborczej.

Mimo to sprawa ta pozostawiła u stron interesowanych pewien niesmak, podobny do owego, jaki pozostaje w młodem małżeństwie po pierwszej kłótni poważniejszej, gdy u obu małżonków budzi się po raz pierwszy myśl, że wspólne ich pożycie może być czemś innem jak bezustanną sielanką. Aby uchronić na przyszłość drogocenny żywot koalicyi od katastrof, jakie groziły mu w obecnym wypadku, wskrzeszono napowrót instytucyę pogrzebaną jeszcze za czasów hr. Taaffego, mianowicie t. zw. komisyę parlamentarną, złożoną z delegatów stronnictw rządowych. Wydział ten ma pośredniczyć we wszystkich ważniejszych sprawach między rządem a klubami koalicyjnymi i obmyślać sposoby godzenia sprzecznych interesów centralistów niemieckich i liberałów z jednej, u słowiańskich autonomistów i klerykałów z drugiej strony. Zadanie niełatwe. Z natury rzeczy wypływa, że wydział taki staje się z czasem główną sprężyną całej machiny parlamentarnej, że tłumi on w zarodku wszelkie samoistne dążności u pojedynczych członków stronnictw i że nabiera przy danej sposobności znaczenia drugiego gabinetu. Że myśl stworzenia podobnego dziwoląga powstała w obecnej sytuacyi, która właśnie samemu rządowi, złożonemu z delegatów stronnictw skoalizowanych, powinna wyznaczyć rolę takiej „komisyi parlamentarnej," świadczy to o złowrogiej zmianie, jaka zaszła w stosunku wzajemnym klubów i członków gabinetu od czasu stworzenia koalicyi aż do chwili obecnej.

Nie brakło zresztą dalszych objawów tej zmiany nawet w krótkim czasie istnienia nowej komisyi parlamentarnej. Pierwszym z nich było drobne, ale dość ostre starcie między Kołem galicyjskiem a lewicą niemiecką, wywołane mową posła Pinińskiego, w której wskazał potrzebę działania przeciw uszczupleniu praw narodowości polskiej na Szlązku. Po kilku mowach, wygłoszonych w parlamencie i krótkiej, ale zużytej polemice prasowej, spostrzeżono i w tym wypadku po obu stronach, że pierwszym warunkiem życia systemu obecnego jest milczenie i bezczynność ogólna — i zamilknięto.

Niebezpieczniejszem było przesilenie, którego widownią był, a raczej jest jeszcze do tej chwili klub hr. Hohenwartha. Bezpośrednią przyczynę stanowi sprawa reformy waluty, w której minister skarbu, Plener, przedstawił szereg nowych projektów. W klubie konserwatystów istnieje od samego początku podjęcia tej sprawy grupa zaciętych przeciwników reformy, złożona przeważnie z klerykalnych posłów gmin włościańskich. Do zasadniczych tych oponentów przyłączyli się obecnie osobiści wrogowie liberalnego przewódcy, w rękach którego spoczywa teka skarbu, a wskutek tego zaszedł fakt niespodziany, że większość klubu uchwaliła głosować w Izbie za odroczeniem wszelkich projektów, dotyczących reformy waluty. W myśl tej uchwały powinienby był właściwie cały klub jednolicie głosować przeciw projektom rządowym, co równałoby się wotum nieufności dla gabinetu i dla systemu koalicyi. To też hr. Hohenwartowi, jako twórcy tego systemu, nie pozostawało nic innego po takiej niespodziance, zgotowanej mu we własnem jego stronnictwie, jak oświadczyć, że składa godność prezesa i występuje zupełnie z klubu, który dotychczas nosił jego nazwisko. Wiadomość ta sprawiła wrażenie w całym parlamencie. Nie ulega bowiem wątpliwości, że po ustąpieniu hr. Hohenwarta rozbiłby się też w najkrótszym czasie klub konserwatystów stanowiący oś środkową koalicyi. To też starano się wszelkiemi środkami rozegnać groźną burzę — i zażegnano ją też znów szczęśliwie. Przedewszystkiem postanowiono na zwołanem pospiesznie zebraniu pozostawić członkom klubu swobodę głosowania w sprawie reformy walutowej. Wobec tego solidarność stronnictwa z gabinetem i koalicyą nie zostanie zerwaną. Nadto w osobnym adresie podpisanym przez wszystkich członków klubu wyrażono hr. Hohenwartowi najzupełniejsze zaufanie. Wzruszony tą czułością, cofnął on swą groźbę i ocalił znów gabinet i koalicyę.

Mamy więc takich wypadków ocalenia— jeśli pominiemy drobniejsze — aż trzy w ostatnich kilku tygodniach. Są one dowodem, że dłuższe lub krótsze istnienie systemu, panującego obecnie w Austryi, zależy dziś tylko od trafu, który może przedłużyć żywot koalicyi lub też zakończyć go lada dzień niespodzianie.

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Panama jest nieśmiertelną, bo jeszcze dotąd zajmuje uwagę publiczną, sądy i sfery rządowe. W zeszłym tygodniu pomiędzy spadkobiercami Reinacha, który maczał głęboko ręce w tem błocie, a K. Herzem, przebywającym w Anglii głównym twórcą tego błota, stanął układ, którym obie strony zobowiązały się do wypłacenia likwidatorom kanału Panamskiego po $1\frac{1}{2}$ miliona fr. Według prasy francuskiej, ugoda ta miała ostatecznie zakończyć sprawę cywilną i karną względem Herza, który teraz jest wolny od wszelkiej odpowiedzialności i nie będzie dalej ścigany sądownie. Telegraf wszakże donosi, że minister sprawiedliwości nie zrzekł się żądania od Anglii, ażeby ta wydała winowajcę, z którym nie wszystkie rachunki są już załatwione. A zatem Panama jeszcze nam się przypomni nieraz.

Gabinet francuski stanął znowu nad przepaścią. Zaledwie go uratowano przy obradach Izby nad wydaniem w ręce sądów deputowanego Toussainta (który podburzał robotników). Parlament opierał się rządowi, dopiero gdy przed ostatecznem głosowaniem prezes ministrów zagroził dymisyą, uchwalono wydanie. Jest to zwycięztwo, które wystarczy na tydzień lub dwa. Słychać bowiem, że niezadowoleni

---

W oznaczonym czasie wszyscy mieszkańcy wioski wylegli na plac przedkościelny, spoglądając co chwila ku szaremu grzbietowi skały, na której junak dosięgnął już był pierwszej przystani. Nie spoczął tu jednak, uniósł tylko czapeczkę i pozdrowieniem odpowiedział klęczącej u stóp skały i wśród łez i błagań wyciągającej ku niemu ramiona, matce... Bez wysiłku doszedł i do drugiej przystani. Tutaj przysiadł, pot z czoła otarł i wzrokiem odległość ku szczytowi badał.

Kiedy po chwili wstał, pas mocniej ścisnął i jak kot, zwolna, na czworakach wspinać się zaczął, wszystkie oczy były weń utkwione. Skała bowiem była na miejscu tem urwistą, a ziemia po mrozach skruszałą. Poślizgnął się kilkakrotnie — starsi zaczęli już kiwać głowami, zerkając litościwie ku matce, która wśród gromadki kobiet padła zemdlona.

— Niedobrze się to skończy — mruczeli, posuwając się naprzód. — Za młody jest!

— I za krewki! — dodawali inni.

Lecz na małem wzgórzu stała samotnie młoda dziewczyna w krasnej sznurówce, z jasnymi splotami, ze skrzyżowanemi na plecach dłońmi. Niektóre z pośród starszych kobiet obrzucały ją, przechodząc, ponurem, groźnem spojrzeniem — wiedziały wszystkie, że to ona w myśl starego zwyczaju zażądała tego dowodu odwagi. Niebaczna na ogólny niepokój i niechęć, które ją otaczały, stała, z uśmiechem śledząc chłopca, zawieszonego między niebem a ziemią; na jej pięknem, świeżem obliczu malowała się silna wiara w jego zwycięstwo, pewność, że on stanie tam właśnie, gdzie przed nim nikt stanąć nie zdołał.

Nagle rozległ się wśród gromady okrzyk podziwu. Wspinając się szybko, zygzakiem, chłopak zatrzymał się na trzeciej, najwyższej krawędzi grzbietu. Ale siły jego zdawały się wyczerpane. Mimo to, iż niewiększym wyglądał od muchy, wyraźnie dostrzedz było można, że ciężko zawisł ciałem na wązkim, kamiennym brzeżku.

Jakiś człowiek z lunetą, wokoło którego zgromadziło się mnóstwo ludzi, pokiwał głową i rzekł:

— Dalej nie zajdzie... Jest biały, jak kreda i ręce ma pokrwawione!

Poczem zaległa zupełna cisza. Chłopak podniósł się, a patrzący przez lunetę widział, jak powtórnie mocniej pas wokoło bioder ścisnął, spoglądając na gładki, nagi grzbiet, który aż do gniazda, na szczycie, wydawał się zupełnie prostopadłym. Potem widziano, że szukał ostrożnie oparcia dla rąk i nóg... dreszcz wstrząsnął wszystkimi... istotnie szedł dalej w górę.

Nagle usunęło się pod nim kilka kamieni, staczając się w dół po skale.

— Pada! — pomyśleli wszyscy, a zawołali niektórzy.

Lecz chłopak oburącz uchwycił się jakiejś rysy, na chwilę zawisł i znowu nogę bezpiecznie oparł. Zwolna, ostrożnie wspinał się wyżej...

Przez kilka minut gromada bezzaradnie spoglądała wokoło: cień wierzchołka zakrył chłopca. Czyżby już był spadł?..

Wtem ze stu piersi zagrzmiał okrzyk: na szczycie skały, na tle jasnego błękitu, zarysowała się górna połowa jego ciała.

W tejże chwili nadciągały spokojnie orły — lecz chłopak szybkim ruchem pochwycił jedną wić gniazda i pchnięciem strącił je wraz z jajami po skale — w dół. Tuż ponad szczytem orły zatrzymały się, jakby w niemym przestrachu. Potem jednocześnie wydały przeraźliwy krzyk i, głośno bijąc skrzydłami, szerokim lotem pomknęły w dal.

A na dole, na łące, zapanowała radość, jakiej dawno już we wiosce nie widzieli. Tylko pastor oddalił się pocichutku i — „nie pojmował."

. . . .

Niema bo rzeczy tak wysokiej, którejby silna, wytrwała wola ludzka dosięgnąć kiedyś nie miała!

Przeł. *Malwina Posner-Garfein.*

łączą się z radykałami dla obalenia gabinetu, co prawdopodobnie nastąpi wkrótce.

Crispi wypowiedział wielką mowę. Mowy wielkie w naszych czasach są to mowy długie. I oracya Crispiego była też długą. Pomimo że ona dostarcza dziennikom europejskim niewyczerpanego materyału do obszernych i głębokich wywodów, nie możemy w niej znaleźć ani jednego punktu, na którym warto byłoby myśl dłużej zatrzymać. Dwu głównie wniosków starał się dowieść Crispi: że trójprzymierze ma charakter wyłącznie pokojowy i że rozbrojenie się Włoch jest niemożliwe w żadnym wypadku. Co do pierwszego, gotowiśmy najzupełniej mu wierzyć, ale czyż to nie jest sofistyką lub też dziwnem pojmowaniem dziejów świata, ażeby człowiek ukształcony, kierownik narodu, nie mógł wyobrazić sobie takiego położenia, w którem by obecne przeciążenie militarne było zbytecznem. Crispi jak gdyby chciał wypędzić z głów parlamentu wszelką mrzonkę o zmniejszeniu armii, przedstawił sprawę tak, że czy ustali się pokój, czy grozić będzie wojna, czy stosunki sąsiedzkie ułożą się przyjaźnie, czy wrogo, zawsze Włochy muszą być uzbrojone. Bo jeżeli nawet nie będą potrzebowały wojska dla obrony w Europie, to powinny je utrzymywać w wielkiej liczbie dla strzeżenia swych interesów pozaeuropejskich. Słowem, tak czy owak, wyjdzie na jedno.

Dzień dziewiąty maja będzie pamiętny w historyi Węgier, tego dnia bowiem sprawa ślubów cywilnych została rozstrzygnięta w Izbie magnatów. Wpływowe stronnictwa i wpływowi ludzie rzucali kolejno swe głosy na szalę obrad — za lub przeciw. Kardynał przywodził opozycyi — prezes ministrów pokonywał go argumentami kanonicznymi. Namiętna walka przeniosła się z parlamentu na ulicę, gdzie liczny tłum oczekiwał wyniku rozpraw i dowiedział się, że projekt odrzucono.

Według ostatnich wieści, stanowisko rządu angielskiego zostało znowu zachwiane, a jego większość w Izbie gmin stopniała do kilkunastu głosów. Irlandczycy obu odłamów przeszli do opozycyi.

„Agencya północna“ donosi, że Rosya mieć będzie przy Watykanie swego przedstawiciela.

W Ostrawie (Austrya) wybuchło bezrobocie górników, którzy starli się z wojskiem, przyczem kilkudziesięciu zginęło.

BADANIA NAUKOWE.

Z POWODU 60-LETNIEGO JUBILEUSZU

ERNESTA HAECKLA.

(Dokończenie).

W roku 1868 zjawiła się na widok publiczny słynna książka Haeckla: „Die natürliche Schöpfungsgeschichte, która w r. 1889 doczekała się już 8-go wydania, oraz nie mniej, niż 12 przekładów, a mianowicie na języki: duński, polski, ruski, francuski, angielski, holenderski, szwedzki, hiszpański, portugalski, serbski, malajski i japoński. Dzieło to ma niepospolitą wartość jako utwór popularno-naukowy; napisane jest z niezwykłym talentem, żywo, barwnie, stylem kwiecistym, z wielką śmiałością i idealnie przystępnie, dzięki czemu zyskało sobie taki rozgłos. Można z pewnością powiedzieć, że gdyby nie ta praca, teorya Darwina nie stałaby się tak popularną i nie zwróciłaby na siebie takiej uwagi szerokiego ogółu.

W latach następnych Haeckel wydaje szereg ważnych prac naukowych: o rozwoju rurkopławych, studya nad monerami, monografię gąbek wapiennych. W drugiej z wymienionych prac wykazuje brak granicy pomiędzy najniższemi roślinami i zwierzętami i wprowadza pojęcie trzeciego państwa ustrojów, „protistów,“ do których zalicza najniższe twory, stojące na pograniczu świata roślinnego i zwierzęcego. Pojęcie to nie zyskało sobie jednak prawa obywatelstwa w nauce.

W dziele o gąbkach wapiennych oraz w późniejszej pracy p. t. „Die Gastraea-Theorie“ Haeckel wypowiada słynną swoją teoryę gastraei, według której wszystkie ustroje, stojące powyżej pierwotniaków, rozwinęły się ze wspólnej, hipotetycznej postaci rodowej, którą oznacza on nazwą gastraea, a która przedstawiać miała woreczek o dwu warstwach ciała, opatrzony wewnątrz jamą pokarmową, z jednym otworem do niej wiodącym. Wszystkie zwierzęta wielokomórkowe przebiegają też w swym rozwoju osobnikowym okres ustroju dwuwarstwowego (t. zw. gastrala). Teorya ta, później zmodyfikowana, miała wielkie znaczenie naukowe i w zasadzie została stwierdzona przez wszystkie prawie badania embryologiczne, jakkolwiek pierwotnie zyskała sobie bardzo wielu nieprzyjaciół.

W r. 1874 wydał Haeckel inne znów dzieło, napisane w szacie bardzo przystępnej, a zawierające liczne nowe poglądy morfologiczne. Dzieło to, noszące nazwę „Antropogenii,“ przedstawia w szczegółach przeprowadzony rodowód człowieka od najniższych ustrojów, kolejno przez coraz wyższe grupy. Tu przewija się od początku do końca idea równoległości studyów rozwoju osobnikowego i rodowego. W r. 1891 zjawiło się już czwarte wydanie tej książki.

W r. 1873 wydaje Haeckel wspaniałe dzieło, ozdobione zdumiewającemi tablicami rysunków, p. t. „Korale arabskie“ — owoc podróży na morze Czerwone, gdzie odbywał poszukiwania naukowe na parowcu wojennym, wypożyczonym mu przez kedywa.

Na zebraniu przyrodników w Monachium w roku 1877 wygłosił słynny odczyt p. t. „Dzisiejsza nauka o rozwoju w stosunku do innych umiejętności,“ który spowodował pamiętną a zaciętą walkę pomiędzy nim a byłym jego mistrzem Virchowem. Z powodu tej polemiki wydał następnie Haeckel, jako odpowiedź Virchowowi, dziełko p. t. „Wolna umiejętność i wolne nauczanie.“ Słynna też była walka, jaką stoczył z Du Bois Raymondem co do granic poznania. Haeckel nie uznaje szranków dla myśli ludzkiej i dla postępu wiedzy, „Impavidi progrediamur.“ „Nieustraszeni, podążajmy naprzód“ — oto jego wyznanie wiary!

Ze wszystkich jego polemicznych pism wieje gorączkowa namiętność. Styl jego krytyk jest nadzwyczaj cięty, złośliwy; nie przebiera on w wyrażeniach, rzucając pociski na nieprzyjaciela i pisze z taką werwą i z tak wielkim humorem, że wszystkie jego prace tej kategoryi — a jest ich zbiór cały — czytywane są z wielkiem zajęciem. Osobistości, z których Haeckel szydził, należą do wybitnych sił naukowych, np. prof. Ilis, Kölliker, Claus, Hamann), z tego więc powodu zyskiwał sobie całe zastępy zawziętych nieprzyjaciół w świecie naukowym, jak z drugiej znów strony — wielu wielbicieli jego niepospolitej śmiałości polemicznej.

W r. 1879—81 wydaje olbrzymie dzieło w trzech wielkich tomach *in folio* o meduzach. Wkrótce odbywa podróż na ocean Indyjski i po powrocie pisze słynne „Listy z podróży do Indyj,“ znane w szerokich bardzo kołach czytelniczych, ponieważ napisane były prześlicznym, prawdziwie poetyckim stylem. Opisy przyrody zwrotnikowej w tej książce mogą iść w porównanie tylko z opisami Humboldta.

Całe prawie minione dziesięciolecie (1881—1889) poświęca Haeckel opracowaniu olbrzymiego materyału naukowego, zebranego przez wyprawę angielską „Challengera.“ Wydaje też wielkie dzieło o meduzach głębinowych, o radiolaryach, o gąbkach i innych zwierzętach morskich. Monografie te imponują ogromną wiedzą autora i niezwykłą pracowitością. Dzieło o radiolaryach zawiera np. 140 tablic *in folio* i mieści opisy nie mniej niż 4,318 nowych gatunków, dodanych do znanych dotąd zaledwie 600!

W r. 1886 spotkała Haeckla wielka przyjemność z powodu, iż bogacz niemiecki, dr. Paul von Ritter, natchnięty popularnemi pismami uczonego jenajskiego, ofiarował ogromny fundusz żelazny, którego odsetki przeznaczył na: 1) utrzymanie katedry filogenii (nauki o dziejowym rozwoju zwierząt) w uniwersytecie jenajskim oraz 2) na podróże naukowe w celu rozszerzania teoryi descendencyi. Pierwszym profesorem na tej katedrze był uczeń Haeckla, Arnold Lang, obecnie profesor zoologii i anatomii porównawczej w Zurychu. Następcą jego jest teraz W. Kükenthal.

W r. 1890 ogłosił znów Haeckel dzieło p. t. „Plankton-Studien,“ owoc długoletnich badań nad rozmieszczeniem fauny pelagicznej (tj. nie głębinowej) w morzu, w której to książce stacza znów ostrą polemikę z prof. Hensenem. Z najnowszych jego prac wymienimy jeszcze „Monizm, jako spójnia pomiędzy religią i nauką.“

Naturalnie, wyliczone wyżej dzieła naukowe lub popularne nie wyczerpują wszystkiego, co napisał; o wielu innych jego pracach z konieczności zamilczeliśmy, nie chcąc rozszerzać niniejszego szkicu.

Jako pisarz i badacz bardzo namiętny, Haeckel błądził dość często w swych poszukiwaniach, ale ogółem prace jego ogromnie zaważyły na szali morfologii współczesnej. On, rzec można, pierwszy zastosował należycie teoryę descedencyi do nauk morfologicznych i wspólnie z Gegenbaurem i Huxleyem może być uważany za twórcę nowego a wielce pożytecznego kierunku w tych naukach. Jako popularyzator, należy bezsprzecznie do najznakomitszych, a liczne jego pisma, jak np. wspomniane listy indyjskie, uważane są słusznie przez krytyków za perły popularno-naukowej literatury niemieckiej.

Dr. H. T. Rozicki.

MEDYUMIZM.

Spirytyzm, chociażby dlatego, że zaczął się rozpowszechniać bardzo silnie, zasługuje bezwarunkowo na baczniejszą uwagę. Znajduje się on obecnie w stanie przełomu, w gronie bowiem jego wyznawców znalazło się mnóstwo osób, które zostały wychowane w zasadach filozofii materyalistycznej i nie przestały im hołdować, mimo wiary w ręce, latające po powietrzu, i w postacie, które niby mają się ukazywać. Czem jest jednak w samej rzeczy ów kierunek, przywłaszczający sobie w obecnej chwili miano „pozytywnego“ medyumizmu, a zatem czy działają tam jedynie czynniki, znane teraźniejszej nauce, lecz rozwijające się na tle zrzeszonej auto-hypnozy, albo czy występują na jaw jakieś niezbadane jeszcze siły organizmu ludzkiego — zagadnienie to pozostawimy na uboczu. Ale istnieje inna kwestya. Muszę wyznać, że poznawszy literaturę tego przedmiotu, wyniosłem prze-

świadczenie, że zjawiska „spirytystyczne“ bądź co bądź przedstawiają bardzo wdzięczne pole do studyów nad pewnemi funkcyami naszego ducha — pole, niestety spoczywające najzupełniejszym odłogiem, na którem wyrasta jedynie zielsko szarlataneryi, a jeszcze częściej — niewiedzy. Powzięliśmy właśnie zamiar uczynić kilka wycieczek do tej dziedziny objawów, korzystając z bogatego piśmiennictwa, jakiem rozporządza spirytyzm. Na dzisiaj wybierzemy z pośród nich te fakty, które pozwalają nam zajrzeć nieco w głąb natury medyów oraz poznać niektóre sprężyny „ukazywania się duchów.“ Naturalnie, wszelka praca nad spirytyzmem musi chromać, gdyż istniejący materyał nosi na sobie nawskróś anegdotyczny charakter i granice między tem, co było istotnie a co jest płodem złudzenia, uległy zupełnemu zatarciu.

Przechodzimy zatem do psychologii medyów. Wrażenie, jakie odnieśliśmy z grzebania się w nudnych sprawozdaniach o piszących stolikach, rozmawiających duchach itd., każe nam uwierzyć w szczerość owych pośredników. Rozumie się, śród medyów jest sporo szarlatanów, wyzyskujących łatwowierność ludzką, ale nie stanowią oni zasady, przytem oszustwo zbyt często jednoczy się z dobrą wiarą: medyum „dopomaga“ wywołaniu tego, o czem wierzy, że powinno nastąpić. Studya nad owymi pośrednikami są nader ciekawe. Kto chce poznać fizyognomię pierwotnego kapłaństwa, musi rozpocząć od pośredników spirytystycznych, jako ogniwa, które w cywilizowanej teraźniejszości stwarza psychologię różnych szamanów i fetyszystów. Zachodzi tu tak wielkie podobieństwo: uzdolnienia medyumiczne, jak ongi kapłańskie, są dziedziczne, tj. wykazują dążność do przechodzenia z przodków na potomków. Podamy parę faktów. „Kiedy wpadam w trans — opowiada o sobie Florentyna Cook — zjawiska występują silniej. Przed dobrem posiedzeniem ogarniało mnie silne podniecenie z bezsennością, potem zaś nie mogłam wytrzymać w domu i musiałam wyjść na powietrze. Jeżeli długo znajdowałam się na posiedzeniu, byłam następnego dnia zupełnie wyczerpaną i nie mogłam znieść najmniejszego dotknięcia. Matka moja i parę osób zpośród rodziny były też medyami, ale nikt z nich aż do ostatniej chwili nie słyszał o spirytyzmie.“ Niekiedy pośrednik, na wzór pierwotnych znachorów, przebywa istotny nowicyat, w którym winien wyrzec się różnych narkotyków i zdobyć swojego rodzaju „czystość“ wewnętrzną. „Medya są zmuszane przez swoich kierowników (tj. duchów) do przestrzegania pewnej wstrzemięźliwości, niepicia trunków, nieużywania narkotyków, gdyż taki tryb życia uważają oni za nieodzowny warunek, jeżeli ktoś chce posiąść zdolność do wywoływania zjawisk wyższego rzędu. Najsilniejszy ze znanych mi medyów w ciągu lat 40 nie spożywał mięsa, rzadko pił wino i nigdy nie używał herbaty i kawy. Znam też w Ameryce dobre medyum do zjawisk natury fizycznej, które jego kierownik postanowił oduczyć od palenia, ale ono nie porzucało tego zwyczaju i nie przestawało pić — skończyło więc na tem, iż utraciło swoją zdolność. Inne znane mi a silne medyum wszechstronne musiało przebyć istotny nowicyat u swoich kierowników, życzących sobie oduczyć je od złych nałogów, uczynić jego życie doskonalszem i cnotliwszem i zwolna wdrożyć je do nowego powołania. Ów osobnik był młody i odznaczał się obżarstwem, które fatalny wywierało wpływ na jego zdrowie. Mięso, herbata, kawa i tytoń zostały zupełnie zabronione, mleko zaś, masło i sól dozwolone jedynie w bardzo ograniczonej ilości. Tytoń najczęściej go kusił. Razu pewnego, na morzu, za przykładem towarzyszów, wypalił cygaro. Wyszedłszy na ląd, został za to ukarany zaraz na pierwszem posiedzeniu: podczas transu został powalony o ziemię.“ Owe rozkazy, zmuszające do wstrzemięźliwości i niekiedy napotykające opór, są objawem bardzo charakterystycznym, świadczą bowiem, do jakiego stopnia pobudki wewnętrzne potężnieją u medyów, a przedewszystkiem, jak przybierają w ich umysłowości szatę osobową. Nieraz nawet ktoś staje się medyum wbrew własnej woli. „Ani wola moja, ani zamiary — spowiada się jedno z nich — nie brały udziału w moim rozwoju spirytystycznym, który odbywał się na przekór im, albowiem kiedy po raz pierwszy spostrzegłem w sobie te wpływy, których skutki widziałem u innych medyów, zaprotestowałem przeciwko nim całą mocą ciała i ducha. Razu jednego, późno wieczorem, siedziałem w saloniku samotny, prawa ręka spoczywała na oparciu fotela. Myśl moja zajęta była tem, com przeczytał. Poczułem w całej ręce jakiś dziwny stan, jak gdyby u góry ścisnęły ją dwie dłonie; chciałem podnieść ją, lecz nie mogłem; zaledwie zrobiłem próbę, gdy palce zostały przyciśnięte do poręczy i mimo woli objęły ją, poczem ręka zaczęła drżeć jakby w konwulsyach (opuszczamy opis, jak „usłyszał“ stukanie w murze, które go przekonało, iż „duch“ spiskuje przeciw niemu).. Po takich próbach ujarzmienia mię przestałem odwiedzać posiedzenia, ażeby odgrodzić się od dalszych wpływów, ale daremnie. Nawet podczas snu ręka moja drgała i budziła mnie... Postanowiłem bliżej zapoznać się ze zjawiskami. Kiedy zacząłem w tym celu odwiedzać kółka spirytystów, niewidzialna siła chwytała moją rękę i zmuszała ją pisać. W początkach zdania były krótkie i urywkowe, ale z biegiem mego rozwoju wychodziły całe stronice w najrozmaitszych kwestyach.“

Takich obrazków zdołalibyśmy przytoczyć mnóstwo. Posiadają one taki odcień szczerości, że trudno powątpiewać o ich prawdzie, zresztą nie ma po temu najmniejszej potrzeby. Wymownie świadczą one, że duchowość medyów jest siedliskiem nieprzepartej mocy instynktów i głosów, jakimi Lombroso obdarza swoich urodzonych zbrodniarzy — rozumie się, istoty innego rodzaju. I sam proces zabierania głosu przez medyów czyni wrażenie podobnej naturalności. Ażeby sprowadzić go do znanych nam objawów, zatrzymamy się nad wypadkami „nieświadomej cerebracyi.“ W rozmowie zapominamy czyjegoś nazwiska, naprożno łamiemy sobie głowę, pamięć stanowczo odmawia posłuszeństwa. Dopiero w parę dni później, kiedy myślimy o zgoła czemś innem, nazwisko owo najniespodziewaniej wypływa w pamięci, a niekiedy zdaje nam się, jak gdyby jakiś głos nam je podpowiedział. Widocznie podnieta, udzielona maszynie mózgowej, działała w sposób żywiołowy i nieświadomy, póki nie wyda rezultatu. Otóż często w psychologii medyów mamy do czynienia z wyładowaniem się skutków podobnej nieświadomej cerebracyi, która nawet aktom woli może narzucić swoje rozkazy, w umyśle zaś nawiedzonego przybrać pozory „ducha.“ Przyjrzyjmy się paru tego rodzaju nawiedzeniom. Zdarza się, że „duchy“ stanowczo odganiają tego lub innego pośrednika. Ktoś, uwierzywszy w spirytyzm, probuje w swoim domu, czy nie posiada czasami zdolności medyum. Akurat dają się słyszeć stukania! Mówi zmarła matka, czyni mu parę wyrzutów i rozkazuje nie zajmować się spirytyzmem. On jednak nie daje za wygranę, ale „duchy“ udzielają zawsze jednaką odpowiedź: nie zaprzątaj sobie głowy spirytyzmem. Rzecz zaiste ciekawa, jak medyum, podczas wyładowywania się nieświadomej cerebracyi, traci panowanie nad swojemi myślami, zdradza największe swoje tajemnice i grzechy, wypowiada poglądy, wręcz przeciwne wyznawanym przez siebie zasadom. Po przez rękę wierzącego szczerze medyum płyną najokropniejsze bluźnierstwa i przekleństwa, od których ono odwraca się ze wstrętem nawet podczas nawiedzenia i całe jestestwo protestuje przeciwko potokowi świętokradzkiemu, występującemu pod piórem. Wstydliwe dziewczęta obdarzają posiedzenie najcyniczniejszymi dowcipami i propozycyami lub przyznają się do postępków, które niesławą okryć je mogą na całe życie. Jeszcze charakterystyczniejszym objawem jest to, że prócz świadomej działalności umysłowej, która posiada moc zdawania sobie sprawy z biegu posiedzenia, w medyum zabierać głos mogą dwie zgoła niezależne od siebie i różnymi potokami płynące cerebracye nieświadome. „Widziałem — ktoś opowiada — jak Mansfeld pisał jednocześnie dwa oświadczenia duchów: jedno ręką prawą, drugie — lewą. Zajęty w ten sposób, prowadził ze mną rozmowę, którą rozpoczął jeszcze przed tem podwójnem pisaniem.“ „Byłem świadkiem — podaje Crookes — jak miss Katie Fox automatycznie udzielała wiadomości komuś z obecnych, jednocześnie komuś innemu i o zgoła odmiennym przedmiocie odpowiadała wybijaniem abecadła, i zarazem podczas całego posiedzenia prowadziła rozmowę z kimś trzecim o kwestyi, niepozostającej w najmniejszym związku z dwiema tamtemi.“ Dla braku miejsca niepodobna nam przytoczyć wypadków, gdzie z tego lub innego powodu oświadczenie ze strony ducha było przerwane w środku wyrazu i świadoma jaźń medyum niezdolna była znaleźć stosownej końcówki — przynajmniej nie więcej, niż inni obecni. Między innemi zjawiska spirytystyczne rzucają bardzo ciekawe światło na twórczość artystyczną. Z wielu przykładów w tej mierze uwydatnimy jeden. Dickens zmarł, nie dokończywszy ostatniej swojej powieści. Dokończyło ją w sposób bardzo zadawalający medyum. Rzecz interesująca, że ów ktoś do chwili, kiedy wziął pióro, ażeby pisać, co mu „dyktował“ „duch“ zmarłego powieściopisarza, w całem życiu nie napisał ani jednego wiersza. Raz na posiedzeniu z pod jego ręki wypłynęło oświadczenie, że Dickens będzie przezeń pisał, i w rzeczy samej napisał tom drukowany o 400 przeszło stronicach, z zachowaniem właściwości stylu autora i z naturalnem powiązaniem akcyi. Oto opowieść o powstawaniu książki. „Początkowo medyum pisało tylko trzy razy tygodniowo, po 3—4 stronice na posiedzeniu, później czyniło to aż dwukrotnie dziennie i od jednego zamachu kończyło 10—12, niekiedy zaś 20 stronic. Pisało nieraz tak prędko, że trudno było przeczytać. Zwykły czas twórczości przypadał na godzinę szóstą rano i wpół do ósmej wieczorem, tj. na te chwile, kiedy bywa jeszcze jasno, zresztą posiedzenia, odbywające się wieczorem, przeciągają się niejednokrotnie do dziewiątej i pisanie idzie wśród ciemności, zimą zawsze tak bywa... Kontynuator Dickensa kładzie ręce na stół w ten sposób, że dłonie leżą na jego powierzchni i filozoficznie oczekuje natchnienia. Zresztą czyni to nie z zupełnym spokojem, gdyż mimo przyzwyczajenia, nie może się jednak pozbyć pewnego uczucia strachu. Oczekuje tak, paląc niekiedy cygaro, dwie, trzy, do dziesięciu minut, niekiedy aż pół godziny. Ale zwykle, jeżeli „warunki sprzyjają,“ trwa to nie dłużej nad dwie minuty. Warunki zaś sprzyjające zależą głównie od pogody. Podczas jasnego dnia maszyna jego, niby elektryczna, działa niezmordowanie; burza wywołuje zwłokę, a im jest silniejszą, tem trudności większe; podczas niepogody posiedzenie bywa odłożone. Przeczekawszy przy stoliku w oczekiwaniu potrzebną stosownie do warunków ilość czasu, ów ktoś nie zwolna, ale nagle traci świadomość, pisanie zaś ciągnie się pół godziny, godzinę, nawet półtory. Z tego transu medyum wynosi tylko jedno wspomnienie, mianowicie widoku

Dickensa, który siedzi niby przy nim ze zo smutnym, zamyślonym wyrazem twarzy. A wrażenie to jest takie, jakie mamy o śnie natychmiast po przebudzeniu się, tj. jako o czemś realnem i zarazem nieuchwytnem. Na znak, że posiedzenie skończone, Dickens na rękę pośrednika kładzie swoją — chłodną, ciężką; w początkach medyum jęczało przy tej czynności. To dotknięcie powraca mu świadomość, ale zwykle potrzeba jeszcze czyjejś pomocy, ażeby odjąć ręce jego od stołu, które przylegają mocno, jak gdyby działał magnes. Przez czas niejaki po posiedzeniu czuje ono ból w piersi, rychło mijający — jest to jedyna nieprzyjemność. Nadzwyczajna nerwowość, na którą cierpiało przed rozpoczęciem posiedzeń, zupełnie przeszła. Medyum nigdy nie czuło się tak dobrze fizycznie." Należy zaznaczyć, że dzieje spirytyzmu mogą dostarczyć jeszcze więcej tego samego rodzaju faktów.

Nasz glob we wnętrzu swojem wciąż kipi i wre. Ale to wrzenie tylko niekiedy uwidocznia się w sposób widzialny trzęsieniami i potokami wydobywającej się z łona ziemi lawy. Coś podobnego przedstawia dusza ludzka. Świadome stany naszej jaźni stanowią jedynie drobny ułamek w naszem życiu duchowem. A tymczasem pod warstwą tą idą bezustanne, ale nam nieznane procesy; odbywają się tam olbrzymie skojarzenia pojęć i walka instynktów, zabierają głos różne potrzeby. Tylko wyjątkowo wydobywają się one na wierzch i występują w postaci stanu świadomego. W zwykłym stanie czynią to one tylko, podając do wiadomości osiągnięty rezultat lub jakieś żądanie instynktu.

Na dzisiaj poprzestajemy na tej wycieczce do krainy spirytyzmu, wycieczce, która zresztą ograniczyła się na dotarciu do pierwszych zarośli, ale nie przedostała się jeszcze w głąb samej knici. Pozostawimy to sobie na przyszłość.

K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Dr. Antoni J. *Sylwetki i szkice historyczne i literackie.* Serya IX.

Tom niniejszy szkiców ukazał się na kilka miesięcy przed zgonem autora. Zawiera on dwie sylwetki literackie sporych rozmiarów i kilka drobnych, historycznych. Największą wagę posiadają studya: „Z życia Zygmunta Krasińskiego" i „Rodzina Malczewskiego" — o nich więc pomówimy obszerniej. Korespondencya Z. Krasińskiego i jego przyjaciół zawsze jest pożądanym skarbem, z którego chętnie czerpią rozmaici badacze. Postać duchowa wielkiego poety wynurza się coraz jaskrawiej z powodzi różnolitych faktów biograficznych i zwierzeń przyjacielskich, nabiera barw i życia. Obecnie dr. Ant. Rolle sięgnął do spuścizny, pozostałej po Edwardzie Jaroszyńskim, długoletnim przyjacielu Zygmunta. Był to człowiek skromny, nieposiadający najmniejszego rozgłosu, urodził się na Podolu. Poznali się z Krasińskim bardzo wcześnie. Edward milczący, jakby w sobie skupiony, łagodny, przypadł bardzo do serca rzutkiemu, wesołemu i rozswawolonemu Zygmuntowi. Po r. 1831 Jaroszyński znalazł się w Berlinie, gdzie z zamiłowaniem studyował filozofię Hegla. Krasiński przekonywał przyjaciela, że wyższem od Hegla jest życie, które wszystko porywa. „Kiedy Hegel pisał systema swoje, już zapewne z punktu heglowskiego ono skoczyło było dalej." W roku 1834 pierwsze miesiące spędzili w Rzymie. Na uroczystości wielkanocne zbiegło się sporo cudzoziemców. W liczbie ich znalazła się pani Joanna Bobrowa, która, jak wiadomo, odegrała ważną rolę w życiu duchowem Krasińskiego. Jaroszyński pośredniczył w poznaniu się tych dwojga ludzi.

Grono ukraińskie, mieszkające w Rzymie, było dosyć liczne i dosyć dobrane. Członkiem jego był Kr., „dziwny czar roztaczający dokoła siebie, autor już wówczas niepośledniej miary, w wielkim sekrecie ukrywający swoje autorstwo, choć otoczenie dobrze o niem wiedziało; wesoły i smutny na przemiany, rozprawiający o zagadnieniach społecznych, o abstrakcyjnych kwestyach z przekonywającym wdziękiem, z tym subtelnym urokiem rzeźbiarza, każdym niemal wyrazem określającego dosadnie przedmiot dyskusyi, a jednocześnie form eleganckich, znajomości świata wielkiej, szczególne względy posiadał pań naszych." Tam się nawiązał blizki i serdeczny stosunek między 27-letnią p. Janiną i 23-letnim poetą. Wówczas już uległ czarowi kobiety. Pisze, iż roją mu się w sercu niewymowne pragnienia, którym nigdy nie stanie się zadość, jak się nigdy nie stało. „O gdybym choć raz na jawie mógł obaczyć wszystkie moje ukryte żądze, sklejone w ciało, ubrane w formę; ponieważ jestem mężczyzną, ta forma musiałaby być kobietą... Poznałaby mnie, byłaby mną i sobą zarazem. Nie byłaby to Wenus grecka, owszem w jej urodzie przebijałaby powaga Apolina Belwederskiego, ale wzniosła, ta duma wzroku, to panowanie nad wszystkiemi, w łzy by się rozpłynęło przede mną. Dla mnie ona by śpiewała piosenkę dziecinną, dla innych straszną pieśń natchnienia." Wówczas oboje upajali się powiewami szczęścia. Przyszłość zadała kłam oczekiwaniom ich i nadziejom. On po latach walki otrząsł się i przy boku nowej Beatryczy popłynął w świat inny, ona ze złamanymi skrzydłami gołębica pokorna została na całe życie samotna, z nieschodzącym na jej czole cieniem żałoby.

Bobrowa była córką zamożnych rodziców (Morzkowskich). Wychowanie musiała otrzymać zwykłe, stosownie do wymagań ówczesnych, zasadzające się na powierzchownej ogładzie, grze fortepianowej i znajomości języka francuskiego. Janina prawdopodobnie w 1825 r. wyszła za mąż za Teodora Bobra Piotrowickiego. Był to pan wielkiej fortuny, urodzony w końcu zeszłego wieku, zręczny, ugrzeczniony a butny i gościnny. Jako mężatka, zwracała uwagę wszystkich swoją niezwykłą urodą. Niewiele radości przyniosła jej miłość Krasińskiemu. Najczęściej oddychała atmosferą smutku i głuchego bólu. Jako służebnica stała przed Zygmuntem, pozbawiona woli, żyjąca tylko jego wolą i jego pragnieniami, ale jednocześnie rozumiejąca całą przykrość położenia. A ten możnowładca, upojony zwycięstwem, może za prędko oprzytomniał i uląkł się ogromu przywiązania jakiegoś bezbrzeżnego, głębokiego, na całe długie życie. Zerwać jednak uważał za rzecz nieuczciwą, więc pragnął koić i uspakajać, zepchnąć w końcu stosunek na drogę przyjaźni. Otrzeźwiał wcześnie; już w 1837 r. nie przerażały go matrymonialne projekty ojca, sam nawet nie miał nic przeciw temu. Rozwiązanie nastąpiło wcześniej, niżeli się tego spodziewać wypadało. Ona wróciła do domu, wyznawszy wszystko dobrowolnie mężowi. Jaroszyński mieszkał w pobliżu p. Bobrowej, poeta w listach do przyjaciela polecał ją jego przyjaźni i staraniom. Uczucie delikatności, chwiejność charakteru Kr. nakazywało na intencyę porzuconej przedłużyć ów stan tymczasowości. Miał znów nową przyjaciółkę, także rozbolałą, choć nie z jego winy. Na widnokręgu pojawiła się Delfina Potocka. Zygmunt zawsze trawiony był gorącem pragnieniem ukojenia bólu ukochanej kobiety, otoczenia jej skrzydłami opieki. Pragnienie kochania zawsze gościło w jego duszy. Wówczas życie jego duchowe było natężone i gorączkowe. „Znów — powiada — uczułem się sobą, uczułem się żyjącym, nietylko w przeszłości, ale i w teraźniejszości." Charakterystyczne są listy, pisane do Jaroszyńskiego i zajmujące się p. Bobrową: „Ile razy ją widzieć będziesz, staraj się jej mówić dużo o rodzicach. Potem staraj się ją odrywać od wszelkich małości kobiecych! Żadnych komerażów nie słuchaj, lub zimno na nie odpowiadaj — ale melodyjnie mów do niej — głosem ducha! Niech pamięta, że jeżeli moje czyny były gwałtowne, popędliwe, to mój duch jednak zawsze pragnął objąć ją czystemi skrzydłami i unieść!" Przyjaźń z Jaroszyńskim jakoś się rozluźniła. Wpłynęło na to oddalenie; w ciągu kilkunastu lat ostatnich nie spotkali się z sobą ani razu. Jaroszyński głęboko był religijny, utonął nawet w pietyzmie. Krasińskiego zaś w owym okresie pomawiano o dążności panteistyczne.

Antoni Malczewski uczył się w Krzemieńcu. W drugim dziesiątku bieżącego wieku było to miasto z wielu względów podobne do francuskiego. Bardzo wiele rodzin skupiło się tam. Celem było danie gruntowniejszego i wszechstronniejszego wykształcenia dzieciom. „Choć naprawdę — powiada autor — dziatwa zapatrzona na rodziców, rozbawiała się także, nabierała poloru, w tańcach salonowych trzymała prym, zdobywała wymowę francuską bez zarzutu, ale wiedzę tylko powierzchowną przyswoić sobie mogła." Malczewski, kiedy był młodym człowiekiem, nie zapowiadał niczem swego talentu, nikt go nie posądzał o dążenia poetyckie. „Był to bardzo przyjemny kompan, wesoły, grający pięknie na gitarze — trochę niecierpliwy, wcale niepodobny do portretów, które potem zdobiły jego arcydzieło." Zdradzał wyraźne objawy starganej równowagi duchowej, nie miał hartu i silnej woli, usposobienie dziedziczne kładło piętno na charakterze. Śmiała wycieczka na Mont Blanc, spostrzeżenia tam poczynione i w naukowy sposób opisane zjednały mu sporo rozgłosu. Autor posuwa się nawet do twierdzenia, że gdyby sprzyjające okoliczności zatrzymały M. w Genewie, niechybnie by się naukom ścisłym poświęcił. Z podróży wrócił w końcu r. 1820 albo na początku 1821. Warszawa go nie nęciła. Zgorzkniały i zawiedziony, z bardzo skromnym zapasem grosza, pobiegł do gub. wołyńskiej. Zawadził o Chrynów, wioseczkę w pow. włodzimierskim położoną, mieszkali tam bowiem jego znajomi, a w ich liczbie p. podsędkowa, Zofia Rucińska. Była to kobieta jeszcze młoda, lat dwudziestu dwóch albo trzech, choć matka już czworga dzieci; młodsza była od Malczewskiego, jak sam powiada, a ten wówczas rozpoczął rok dwudziesty siódmy. Do wysokiego stopnia nerwowa, rozmarzona, powodująca się fantazyą, z pretensyami do społeczeństwa, że ocenić jej nie umie, nazywałaby z pewnością męża tyranem, gdyby mąż ten nie był uosobieniem łagodności i pobłażliwości. Podsędek bał się spazmów, a pani dotknięta właśnie spazmami kurczowej natury (hystero-epilepsya), cierpiała wiele; samolubnie zasklepiona była w przypadłościach choroby, ciągle ją napastującej. Ogół kobiety nie rozumiał, najbliżsi w otoczeniu jej nie pojmowali całej doniosłości męczarni, jakim ulegała. Z początku pomiędzy młodymi były tylko stosunki sąsiedzkie, ogrzane dawnemi wspomnieniami; oddziaływały one kojąco na chorą, a mąż, osiągnąwszy spokój w domu, rozpływał się w uczuciach wdzięczności dla swego dzierżawcy. Zrazu Malczewskiemu pochlebiało, że go na wyżyny zbawcy swego i opiekuna podniosła. W końcu zapragnął wycofać się z tego związku. Było jednak za późno.

Wreszcie p. Rucińska opuściła dom, męża i dzieci i stanęła przy boku młodego przyjaciela. Ostatnie kilka lat spędzili w Warszawie. M. zgorzkniały i przygnębiony umarł w 1826 r. Wogóle cała ta rodzina składała się z osobników wykolejonych. Opowieść swą autor zamyka następującemi słowy: „Wielki talent, zmrożony w zaraniu, ale nie z winy otoczenia; obok niego cały zastęp awanturniczych krewniaków i powinowatych; brat przyrodni, którego wyrzeka się ojciec; brat rodzony łamie słowo dane przełożonemu, wynosi się kędyś za morze; brat stryjeczny fałszerzem, a kuzynki i siostry kroczą po szerokim gościńcu, poczynającym się od zerwania więzów małżeńskich, zakończonym wyuzdaną rozpustą...“

Wiele ciekawych szczegółów zawiera szkic: „Książę Kondeusz.“ Obrazuje on dzieje emigrantów francuskich, stanowiących armię księcia. Dotknął ich cały szereg niepowodzeń, więc wódz naczelny zwrócił się do cesarza Pawła z propozycyą ofiarowania mu swych usług. Prośba łaskawie została wysłuchana. Drużynie tej polecono osiąść w gub. wołyńskiej i dano pewien fundusz na zagospodarowanie się. Nie mogli uprzywilejowani tułacze zrozumieć nieochędostwa, spotykanego na każdym kroku, braku komfortu, drożyzny produktów żywnościowych, wchodzących w skład t. zw. towarów kolonialnych, braku znośnego wina. Za emigracyą zbrojną przyszła kolej na zakonną. Na początku 1799 r. przekroczyła granicę cała armia wygnańców duchownych. Pozwolono im zajmować się nauczaniem dziatwy, należącej do stanu uprzywilejowanego. Stosunek emigrantów do miejscowego społeczeństwa zapowiadał się zrazu bardzo serdecznie, tułaczów witano ze współczuciem, jako ludzi nieszczęśliwych, jako wyobrazicieli pewnej idei. Nieodpowiednie zachowanie się francuzów wpłynęło na oziębienie się tych stosunków. Pierwotnie tylko arystokracya garnęła się do nich. Później i średnia szlachta, przesiąknięta kultem dla pierwszego konsula, pomimo przeciwnych przekonań, otworzyła podwoje i zaczęła podejmować przybyszów w imię gościnności i wymagań cywilizacyjnych. Słowem, w końcu 1798 i na początku 1799 r bawiono się szalenie w granicach gub. wołyńskiej, zajętej przez pułki francuskie. Wreszcie cała ta armia wyruszyła z powrotem. W liczbie pozostałych znajdowało się kilkunastu kapłanów i „wyznać śmiało możemy, że nauką, poświęceniem, gorliwością w wykonywaniu obowiązków kultu górowali nad miejscowym klerem, bardzo nizko stojącym na schyłku przeszłego i początku bieżącego stulecia.“ Emigranci dali nam spory poczet nauczycieli domowych, t. zw. dozorców; płacono im po sto dukatów, ale można było i za czwartą część tej sumy dostać „metra“ do wszystkiego.

Bron. Chrz...ski.

ODCZYTY.

Władysław Umiński. *O zwierzętach zaginionych i ginących.*

Dawniej, w pierwotnych dziejach swego rozwoju, przedstawiał człowiek najsłabszy gatunek istot, zamieszkujących powierzchnię kuli ziemskiej. Niedołężny fizycznie, nie mógł nawet toczyć walki z potworami czworonogimi i dzięki tylko inteligencyi, która pozwoliła mu posługiwać się mozolnie stworzonemi narzędziami, wybrnął zwycięzko, stał się panem na świecie i z tryumfem patrzył na znikanie olbrzymów zwierzęcych, które groziły mu zagładą przez długie wieki. Dziś człowiek jest najdrapieżniejszem krwiożerczem stworzeniem, mści się niemiłosiernie za swych praojców, tępi zapamiętale wybitniejsze gatunki zwierząt. Prelegent nakreślił kilka wymownych przykładów tej wszechwładnej gospodarki ludzkiej. Połów wielorybów — to bogaty odłam przemysłu i handlu. Z portów Europy, Ameryki, Azyi i Australii wypływają na ocean olbrzymie floty, przeznaczone wyłącznie do ścigania wieloryba i potfisza, tudzież do łowienia fok, morsów i innych ssaków morskich. Jeden wieloryb daje zysku kilka tysięcy rubli; w tem właśnie tkwi źródło roznamiętnienia myśliwych-rzemieślników, lekceważenie największych niebezpieczeństw. Ale już od lat kilkunastu wielorybnicy twierdzą, że ich zawód staje się coraz mniej zyskownym, nie dla tego, iżby ceny tranu i fiszbinu spadły, lecz że sama zwierzyna jest coraz rzadszą. W ostatnich latach liczba złowionych wielorybów zmniejszyła się o 60%, sztuki olbrzymie należą już do rzadkości, gdyż łowcy nie pozwalają im dojść do zupełnego rozwoju. I tak za lat kilkadziesiąt wieloryb niewątpliwie będzie już należał do rzędu zaginionych. Łowcy nie gardzą i drobniejszą zwierzyną; najchętniej polują na foki i słonie morskie. Trzymają się one jeszcze wielkiemi stadami w okolicach polarnych, szczególnie Ameryki północnej. Korzystając z bezbronności tych stworzeń, ludzie tępią je masowo i to tylko dla skóry i tłuszczu; resztę rzucają do morza, jako nieużyteczne odpadki. Tym sposobem ginie rocznie przeszło 500 tysięcy fok, słoni i niedźwiedzi morskich. Słabo rozrodcze gatunki pod wpływem takiego rabunku zanikają zupełnie. Tak np. r. 1741 załoga wyprawy Behringa, po rozbiciu się okrętu w pobliżu Kamczatki, znalazła schronienie na jednej z wysp. Towarzysz tej gromady, Steller, schwytał w morzu zwierzę, pokryte skórą, podobną do kory dębowej i mające zamiast zębów — twarde płyty na podniebieniu dla miażdżenia pokarmów. Stworzenie to, ochrzczone mianem *Rhytina Stelleri*, znajdujące się w wielkiej obfitości około wyspy, miało mięso nader smaczne i delikatne; łowiono więc je zapamiętale, a gdy wieść szerzej się rozbiegła, pośpieszyły tam tysiące rybaków i w ciągu 2 lat wyniszczyli oni gatunek ten zupełnie, tak iż nawet uczeni nie zdążyli dostać ani jednej sztuki, aby zdjąć z niej skórę i wypchać, a szkielet przechować. Pozostał tylko fakt do wpisania na kartach nauki, że *rhytina* była ssakiem a nie rybą.

Na północnych lądach przymorskich żyły do niedawna duże ptaki bez skrzydeł — *alki*. Wyginęły one w połowie bieżącego wieku. W 1844 r. zabito dwie sztuki z tego gatunku w Labradorze i odtąd nikt już o nich nie słyszał. Inne alki, podobne do tamtych, schroniły się do cieśniny Behringa i dalej na północ, dokąd rzadko docierają żeglarze. Są one głupie i niedołężne, dające się kijem zabić. Oprócz alk wielkich myśliwi wytępili jeszcze kilkanaście innych gatunków. Lucas, zoolog amerykański, ułożył i ogłosił niedawno listę zaginionych i ginących stworzeń. Między innemi jest tam wymieniona foka podzwrotnikowa (*Monachus tropicalis*). Kilkaset lat temu zamieszkiwała ona licznie wyspy Bahamskie w Indyach zachodnich. Teraz jest rzadkością, dzięki chciwości ludzkiej. Tuła się jeszcze to stworzenie w zatoce Meksykańskiej, skazane na szybką zagładę. Taki sam los spotkał morskiego słonia kalifornijskiego, morsa (*mors odoebenus Rosmarus*); sępa kalifornijskiego, wygubionego strychniną, doda, Kormorana Pallasa, żółwia lądowego z wysp Galapagos itd.

Najsmutniejszym obrazem chciwości i krwiożerczego łupieztwa człowieka było wytępienie bawoła amerykańskiego (bizona). R. 1885 Muzeum narodowe Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej wysłało delegata, Hornaday'a z poleceniem, ażeby dostarczył do zbiorów zoologicznych parę egzemplarzy bizona. Uczony ten ogłosił r. 1887 sprawozdanie ze swej wycieczki i opisał smutną historyę wytępienia owego zwierzęcia. Bawoł w przeszłem stuleciu zamieszkiwał jeszcze $^1/_3$ powierzchni Stanów Zjednoczonych od gór Allegańskich do Skalistych i od zatoki Meksykańskiej na południu do wielkiego jeziora Niewolniczego na północ. W 1871 r., a więc zaledwie 23 lata temu, widziano w Arkanzas stado, zajmujące 25 mil angielskich szerokości i 50 długości; musiało więc tam się znajdować 4—5 milionów sztuk. Mniej więcej w tym samym czasie pewnego razu pociąg kolei Kanzas-Pacifik został zatrzymany na godzin kilkanaście przez stado bawołów, ciągnące się na 120 mil. ang. W tępieniu owego zwierzęcia brały udział zorganizowane przez przemysłowców bandy myśliwców, obejmujące po parę tysięcy ludzi, uzbrojonych w najlepsze karabiny dalekonośne. W rzezi tej nie oszczędzano ani cieląt, ani samic. Masowe wyniszczenie rozpoczęło się właściwie od r. 1869 wraz z przeprowadzeniem kolei dwóch oceanów, która rozdzieliła wszystkie bawoły w Stanach Zjednoczonych na dwa wielkie stada: północne i południowe. To ostatnie liczyło do 4 milionów głów; środek jego znajdował się w stanie Kanzas. Dla samych tylko języków, stanowiących najsmaczniejszą cząstkę, zabijano dziesiątki tysięcy. Po rzezi, w której padły miliony, niedobitki w liczbie około 10,000 schroniły się do Texas i rozproszyły się na drobne stada. Polowanie na bawoły przestało być interesem w r. 1889. Sami myśliwi nie wiedzieli przez długi czas o wytępieniu tej zwierzyny i przedsiębrali kosztowne bezowocne wyprawy.

W Europie do ginących gatunków należy krewniak bizona, żubr, w obrębie państwa ruskiego znajdujący się tylko w puszczy Białowiezkiej i na Kaukazie. Wreszcie rzadkością też jest wytępiony bóbr, który jeszcze istnieje na zapadłem Polesiu w dorzeczu Prypeci tudzież około Uralu i morza Kaspijskiego, nad potokami skandynawskimi, nad Łabą i Dunajem.

Wspomnijmy jeszcze o ozdobach kapeluszów damskich, na które miliony krasnopiórych ptaków ginie, a będziemy mieli zaokrąglenie obrazu barbarzyństwa ludzkiego.

Uzasadnione są przewidywania prelegenta, że po śmierci wielkich gatunków zostanie naruszona dotychczasowa równowaga w świecie zwierzęcym, skutkiem czego rozmnożą się niesłychanie drobne, szkodliwe stworzenia, które nie dadzą się łatwo wytępić.

Pierwszą część odczytu, złożoną z barwnych opisów paleontologicznych, p. Umiński urozmaicił licznymi na ekranie rysunkami stworzeń zaginionych, których podobizny odtworzono mozolnie z zachowanych szkieletów.

Zn.

TEATR.

Z. Przybylski. *Letnicy*, komedya w trzech aktach.

Niema w najpopularniejszych piosenkach zwrotki powtarzanej częściej nad ten przyśpiew krytycznych sprawozdań teatralnych, według którego... autor miał dobry pomysł, ale go źle wyzyskał. Powiedziano to mniej więcej tyle razy, ile wystawiono sztuk nowych. Niech nas tedy bronią wszyscy bogowie od rzucenia tego wytartego liczmana p. Przybylskiemu i niech natchną każdego tem przekonaniem, że właściwie wszystkie pomysły są dobre dla... talentu. Czyżby go autor „Letników“ nie miał? Bynajmniej, ale — jak mówi przysłowie — nawet najpiękniejsza panna tyle tylko może ofiaro-

wać, ile posiada. Otóż p. P. posiada talent do farsy i z tego stanowiska oceniać należy wszystkie jego utwory.

Dwaj młodzi warszawiacy, z których jeden jest żonaty, wybrali się w odwiedziny do pewnej wesołej Walerki, przebywającej na letniem mieszkaniu. W pociągu jednakże przyaresztował ich znajomy, spieszący do żony i kilku dorosłych córek, który zmusił ich do wzięcia udziału w majówce. Młodzieńcy pod zmyślonemi nazwiskami stają się łupem panien: kawaler znosi ten jasyr łatwo a nawet chętnie, natomiast żonaty pragnąłby uwolnić się od przykrej roli, zwłaszcza że go nęci owa Walerka. Ostatecznie dostaje się do niej. Ale przybywa żona, szukająca letniego mieszkania, wysnuwa się splątane pasmo kłopotów i komicznych powikłań, z którego bohaterowie wychodzą szczęśliwie, a zebrani w teatrze ludziska śmieją się, śmieją i śmieją. Czegoż tu więcej potrzeba do przyznania autorowi tryumfu? Śmieją się — to dosyć. Wszelkie inne argumenty są zbyteczne a poważne roztrząsanie treści sztuki, jej postaci i stosunków może tylko powiększyć wesołość widowiska mimowolnym humorem jego surowej oceny. W całej tej farsie niema ani jednej tak zabawnej figury, jak sprawozdawca, który przystępuje do niej z całą powagą surowego sędziego.

OBRAZY I OBRAZKI.

II.

Pisząc przed tygodniem o świetnej pamięci płótnie Podkowińskiego, a także o suknie z szat prof. Gersona, rozdartych bólem na widok bezdroży talentu, truchlałem, ażeby czcigodny sprawozdawca *Kuryera warszawskiego* nie zechciał przypadkiem być tym razem szerszym nieco w ocenie i nie zmienił zwykłego swego tonu wzmianek o pracach oryginalniejszych i śmielszych, bo w takim razie przypozwanie go, jako osoby trzeciej, w sprawie „Szału“ byłoby z mej strony nietaktem. Opatrzność jednak czuwała nade mną i nie dopuściła złego; sędziwy artysta, mówiąc o różnych efemerydach Towarzystwa Zachęty, „między innemi“ napomknął także o nieżyjącem dziś dziecku Podkowińskiego i to nawet z uznaniem i zadowoleniem, że on zaczyna już pomyślnie stawiać pierwsze kroki w sztuce i pozbywać się brzydkiego nałogu leżenia w pieluchach. Ach, to uznanie i te pochwały, toć to prawdziwe perły i dyamenty dla każdego, pragnącego zrozumieć i połapać się w stylu warszawskim!

Ponieważ inni malarze mają nerwy zdrowsze, niż Podkowiński, więc można o nich mówić bez obawy, że w chwili wyjścia artykułu z druku, obrazy ich będą już pastwą nożyc albo scyzoryka. Zresztą w epoce Kurzawy i Kuby rozpruwacza można się wszystkiego spodziewać.

Na miejscu nieboszczyka wisi teraz duży krajobraz p. Rapackiego, jako nowy dowód niezwykłej płodności tego malarza. Nie można nawet twierdzić, że nosi na sobie ślady jej w postaci jakiejś np. powierzchowności traktowania, jest bowiem wykończony i pracowity. Jako specyalista od obłoków i strumieni ukrytych w trawie lub parowie, autor połączył je tutaj w ten sposób, że na pierwszym planie mamy wielkie puszyste trawy i zarośla, a na dalszym pierwsze czaty lasu, zazłocone na wierzchołkach i zarumienione od zachodzącego słońca. Jak dawniejsze, tak i to malowidło posiada świeżość i poezyę, młodość i wiosnę; piękny jest promień słońca, padający ukośnie na polanę między drzewami, bo się prawdziwie ślizga po niej i drga, i piękną byłaby całość szeroko rzucona i powietrza pełna, jak wszystkie roboty Rapackiego, gdyby nie zmanierowane niebo z więcej jeszcze naciąganymi obłokami. Nie można mieć żadnemu artyście za złe, że sobie wybiera motywy szczególnie powabne, wyszukanie smaczne, ale trudno zgodzić się na skojarzenie przemocą natury znajomej, swojskiej z szafirem i fioletem Włoch. Obawiam się, czy ta włoszczyzna nie zapowiada właśnie w naszym malarzu zwrotu do warszawszczyzny. Na miłość Boga, niechaj do tego nie dopuszcza, niech bodaj wybierze egzotyzm Grodziska, jak to uczynił Chełmoński, tylko niech się nie wzoruje na gustach ogrodu Saskiego, Towarzystwa muzycznego i miejscowych ilustracyj; one potrafią nawet granit zamienić na porcelanę, wieś na letnie mieszkanie, niebo na wachlarz...

Chełmoński przynajmniej odgranicza dosadnie to, co maluje dla przypodobania się komuś, od tego, co tworzy dla siebie. Scena po polowaniu, rozgrywająca się w ośnieżonym lesie, jest robotą tak marną, że mógłby jej nie powstydzić się nawet malarz trzeciorzędny, twarze panów i pań kopiowane martwo z fotografij, pejzaż twardy, drewniany, w całości ciężar i urząd. I chociaż drugi, większy obraz tego samego pędzla, przedstawiający dwa rozigrane konie, nie należy do nadzwyczaj miłych, wzrok jednak z prawdziwą rozkoszą przenosi się do nich, bo wyczuwa tam siłę i istotną śmiałość linij. Grupa to wogóle osobliwa — dwa rumaki, stające dęba i baraszkujące przedniemi nogami — i pewnie nikomu dotąd nie przyszło na myśl coś podobnego skomponować, albo też wybrać maść brunatną i dać ogromną plamę koloru nienajmilszego; ale w Chełmońskim razi ona mniej, bo znamionuje naturalność obserwatora, nie krępującą się żadnymi względami, prócz względu własnego upodobania. Swoją drogą studyum to na rysunek i światło sierści, mozolne dosyć i staranne, ma w sobie pewną twardość, której się u Chełmońskiego nie spotyka. Miałżeby to być początek zawrotu wstecz?

Jeśli nie cofa się, to z pewnością nie postępuje p. Ciemniewski. Pierwsze, rok temu wystawione przezeń płótna, odrazu uderzały szczerem odczuciem natury, dzisiaj zaś opływają nas długim sinawym sosem, w którym ustawicznie kąpią się jego ludzie, zwierzęta i pejzaże. Niekiedy najdowcipniejsze urządzenie obrazu psuje on tą domieszką generalną, że wspomnę o powrocie z sianożęcia. Efektowna to była w całem znaczeniu grupa, tonąca w mrokach leśnych o późnym zachodzie słońca, które ostatnimi błyskami oświecało głowy pary wieśniaczej, usadowionej wysoko na wozie z sianem i bawiącej się dzieckiem. Było to może trochę za słodkie, ale pełne nastroju, lecz znowu spospolitowane sinym w ogólnej plamie kolorytem. To samo zastanawia i w krowach, spoczywających na łące, i w rozkoszach rodzinnych na brzegu rzeki pod mostem—jednostajność po prostu mdła.

Bardzo jest chwalebne i ze strony innych malarzów, że wystawiając naraz całe serye prac, ułatwiają widzowi wniknięcie w ich ducha i zrozumienie ustroju autora. Patrząc na zdobne, niby rokokowe obrazki p. Trębacza, na eleganckie ramki, ogromny polot w oznaczaniu cen, odrazu widzimy to, co bardzo łacno mogło by ujść wzroku, gdybyśmy mieli przed sobą tylko jedno płócienko. Widzimy mianowicie przejęcie się Paryżem, ale tylko buduarowym, znaczną pretensyonalność i wprost rażącą chęć przyozdobienia buduarów i gabinetów naszych. Za dużo w jego malowidłach galanteryi stylowej, jaskrawych sprzętów, materyj i cacek, które nie układają się prosto, naturalnie, lecz naciągane, jak w sklepie japońszczyzny, i gwałtownie silą się na wrażenie smaku wytwornego i obycia z atmosferą prawdziwych salonowych bogiń i nimf. I niepodobna odmówić tym bawidełkom wdzięku, który potęguje się jeszcze poczuciem koloru i smacznem dotknięciem pędzla, jak niepodobna zaprzeczać im płytkości zarówno w pojęciu, jak w wykończeniu. Dotyczy to „Kącika mojej pracowni,“ a także owej „Zamyślonej“ czy „Rozmarzonej“ kobietki, która nie jest właściwie uosobieniem żadnego z tych uczuć, lecz jest poprostu złamaną w pasie i poglądowo naucza, jak *nie* należy siedzieć na kanapie. Istotnie dobrym, starannym i gustownym był miniaturowy obrazek w rodzaju Meissonierowskim, p. n. „List miłosny“ (jeśli mię pamięć nie myli), no, ale zawsze to naśladownictwo. Pan Trębacz wciąż maca dokoła siebie i różnemi dróżkami stara się zjednać sławę doczesną, zamiast porzuciwszy modny i błyszczący świat, wejść w siebie, zrozumieć właściwe swe powołanie, przypomnieć sobie o wybornym i poważnym „Samarytaninie“ i o kilku wyśmienitych studyach rodzajowych, które miał ongi w swej pracowni. Wierzę, że to, co maluje teraz, łatwo znajdzie nabywców, ale zapewniam, że może ono zaspokoić co najwyżej próżność, ale nie głębszą artystyczną ambicyę.

Już o wiele lepszą i szczerszą, naprawdę widzianą i dostrzeżoną jest scenka p. n. „U moich dziadków“; przedstawia ona starego mędrca w jarmułce nad talmudem, oraz jego połowicę i syna, również zatopionego w pobożnej lekturze. Stąd przynajmniej wieje pewne ciepło, choć trudno pojąć, dlaczego głowa wyrostka pod wąsem jest trzy razy mniejsza od głowy starca, przez co wydaje się odległą o kilkanaście kroków.

Podobne rzeczy maluje także Hirszenberg, ale z większą siłą charakterystyki. I teraz obecne na wystawie wielkich rozmiarów płótno jego jest dziełem, o którem lekceważąco mówić się nie godzi. Na cmentarzu żydowskim, w szarą deszczową porę idzie ku mogile parę kobiet i załamuje ręce w rozpaczy, zanosi się od płaczu, słania się od bólu. Jeśli chodzi o prawdę realistyczną, nie brak jej tutaj w ogólnej fizyognomii miejsca i czasu, lecz jeśli chodzi o siłę dramatyczną, znajdziemy jej znacznie mniej; sprowadza się ona do ruchów za bardzo scenicznych i całkiem suchych, co nas poprostu dziwi, bo panu Hirszenbergowi tematy uczuciowe zawsze się udawały i co w nas żal budzi, bo motyw wyjątkowo wdzięczny i zaatakowany śmiało.

Byłaby zasada utrzymywania, że pejzaż się już przesilił, tak niewiele go zawiera Salon Zachęty, choć widoków w pośledniejszym gatunku — jak zwykle — sporo, i o tych można zamilczeć. Do najsympatyczniejszych dla swej prostoty, iście wiosennej świeżości i skromnego motywu zaliczyłbym bzy, okalające chałupę — Wrzeszcza; oryginalny skrawek ogrodu czy cieplarni ze ścianą opiętą brzoskwiniami o różowem kwieciu — Biernackiej, ogród w oświetleniu księżycowem — Pawła Rosena. Warto widzieć przy sposobności prawdziwe włoskie *leggiero* w dwu płótnach Brancaccia, który dla wystawy naszej szczególny ma sentyment i stale jej swe utwory nadsyła. Jest to nadzwyczajna zręczność roboty bez szczególnego pogłębienia, ale z zadziwiającą rutyną w wywoływaniu dużego życia i tłumu małym kosztem.

I na portrety posucha. Jeden z nich, roboty Trębacza, jest sobie zupełnie powszedni, jak gdyby przeznaczony dla czysto familijnego użytku, drugi — Lenca, posiada dużo charakteru i życia i byłby stanowczo większej, niż przeciętna, wartości, gdyby nie fatalny ton, jednakowo i nieprawdziwie rozlany po całej twarzy, i przesadzony rysunek tłustej szyi.

Wypada jeszcze poświęcić bliższą uwagę specyalnej wystawie pomniejszych dzieł Matejki i obrazów religijnych Andriollego, urządzonej przez ruchliwy i skrzętny salon spółki artystów. Ale jeszcze pilniej nam oddać ostatnią posługę świeżo zmar-

lemu w Paryżu De Laveau. Był to jeden ze zdolniejszych w drużynie Aleksandra Gierymskiego, zaczął malować i malował nieźle, gdy był prawie dzieckiem jeszcze— w chwili zgonu, już jako znany i ceniony artysta, miał zaledwie lat dwadzieścia sześć. W krajobrazach jego, bądź olejnych, bądź pastelowych i akwarelach wyczuwało się oko, nie zaćmione żadnemi szkolarskiemi formułkami. Miał jednę nieoszacowaną zdolność: naiwność dziecka natury; patrzył na nią i na ludzi wzrokiem czystym i jasnym i jak zapewniają koledzy — sam znałem go dosyć mało — wybitnie różnił się tą prostotą bezpośredniej obserwacyi, do której sztuka tak mozolnie usiłuje docierać po przez grubą powłokę maniery, naśladownictwa i przepisu, paraliżującego dzisiaj każdą indywidualność.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Muzeum imienia Matejki. — Towarzystwo Przyjaciół Sztuk pięknych. — Szkoła Dzieciątka Jezus.

Bardzo pięknie postępuje sprawa Muzeum imienia Matejki. Na posiedzeniu komitetu, któremu w zastępstwie Sanguszki przewodniczył p. Friedlein, odczytano reskrypt Wydziału krajowego, zawiadamiający, że sejm wyznaczył na cele kupna szkiców i rysunków mistrza oraz strojów historycznych, rynsztunków i przyborów po nim pozostałych 10,000 złr. Przedmioty te zostaną własnością Muzeum Matejkowskiego z zastrzeżeniem, aby uczniowie krakowskiej Szkoły sztuk pięknych z artystycznej tej spuścizny korzystać mogli. Komitet wykonawczy, wybrany dla przeprowadzenia podjętej myśli uczczenia pamięci zgasłego malarza, nie próżnował. Zebrał bowiem ze składek przeszło 10,000 złr., z zapisów 4,575 — co stanowi razem pokaźną sumę około 15,000 złr. Nadto upoważniony został do traktowania ze spadkobiercami Jana Matejki w sprawie kupna domu, zbiorów i mebli. Gdyby kupno domu z jakichkolwiek powodów do skutku nie przyszło, Muzeum zostanie pomieszczone w jednej z sal Szkoły sztuk pięknych lub też w Muzeum, istniejącem już w Sukiennicach. Oszacowaniem pozostałych po Matejce bogactw zajęli się prof. Maryan Sokołowski i malarz Piotr Stachiewicz.

Wobec przysłowiowej obojętności społeczeństwa galicyjskiego dla spraw ogółu, wobec praktykowanego tu zamykania kieszeni i kas na wszystko, co nie jest „interesem,“ a więc działaniem nawskroś egoistycznem, ofiarność, której dowodzą powyżej przytoczone cyfry, jest objawem zadziwiającym. A może też — wczytując się w sprawozdanie Towarzystwa sztuk pięknych — wywnioskować by należało, że społeczeństwo nasze, przy zupełnej skądinąd niewrażliwości, odznacza się jakąś dziwną czułością dla sztuki? Tu znów jednak niedołężna, niesumienna, lekkomyślna gospodarka zarządu tej instytucyi sprawia, że mimo zainteresowania i pomocy ogółu, coraz bardziej ona upada. Towarzystwo miało znaczny fundusz, który nazywał się „funduszem dzieł pomnikowej treści“; w r. 1881 wynosił on 33,000 złr.. a w 1885 odłożony został jako „żelazny.“ Zdawałoby się, że kapitał ten powinien zostać nienaruszonym; tymczasem ściągano sobie z niego potrzebę na najrozmaitsze wydatki, jak naprzykład, w ciągu trzech lat ostatnich „na administracyę“ złr. 12,000. Gdyby zarząd Towarzystwa nie dla frazesu nazwał był oszczędności swoje „funduszem żelaznym,“ kapitał ten powinienby wynosić dzisiaj 47,133 złr. Tymczasem ze sprawozdania za r. 1892 okazuje się, że zmniejszył się prawie o połowę, wynosi bowiem tylko 20,742. Na kancelaryę, utrzymanie jej i lokal wydatkowano w r. 1889 — przy ogólnym dochodzie 41,881 — 10,036 złr.; w r. 1890 — przy dochodzie 44,941 złr. — 12 670 złr.; w r. 1891 — przy dochodzie 43,639 — 11,800 złr.; w r. 1892 wreszcie, przy dochodzie 43,471 złr. — 12,138 złr. Widzimy więc, że Towarzystwu skąpstwa zarzucić nie można. Istotnie, lecz tylko w sprawach administracyjnych, gdzie znajdujemy nawet tak niezrozumiale wysoką rubrykę, jak: „druki, afisze, inseraty za 4 lata — złr. 4,145.“ Czy jednak Towarzystwo dba w równie hojny sposób o właściwe swoje zadanie? Na zakup dzieł przeznaczono w r. 1889 tylko 10,850 złr., w r. 1890 mniej jeszcze, bo 10,474 (chociaż dochody były znacznie większe, aniżeli w poprzednim), w roku 1891 jeszcze mniej, bo złr. 10,250, w roku zaś 1892 najmniej, bo tylko 9,430 złr. Reszta więc tak pokaźnych wpływów idzie na czynsze, premia itp. Skutkiem takiej gospodarki i zmniejszenia dochodów 1893 r. okazuje się obecnie niedobór, wynoszący około 10,000 złr., który naturalnie znowu pokryty zostanie z „funduszu żelaznego,“ zwanego już dzisiaj przez złośliwych „funduszem kamforowym.“ Na warunkach dotychczasowych Towarzystw stanowczo utrzymać się nie może — należałoby więc pomyśleć jaknajrychlej o ratowaniu instytucyi, dla społeczeństwa potrzebnej i korzystnej. Kto wie, czy do niedoborów nie doprowadza gospodarka artystyczna. W skład bowiem zarządu wchodzą dotychczas sami tylko artyści. Oddać by oni mogli usługi wielkie przy ocenianiu i nabywaniu obrazów, faktem dowiedzionym jest jednak, że kochankowie Muzy na sprawach finansowych najmniej się znają. Na ostatniem walnem zgromadzeniu kilkudziesięciu członków zażądało, aby do kierownictwa przypuszczono akcyonaryuszów Towarzystwa, dostarczających mu najgłówniejszej części dochodu rocznego; wniosek ten upadł. Mimo to zarząd powinien uledz gruntownej reformie.

Ks. Leon Zbyszewski przyszedł do przekonania, że stanowczo zająć się powinniśmy wychowaniem kandydatów do seminaryum — od dzieciństwa. Zachwycony „szkółką macierzyńską“ założoną w Montluçon przez zgromadzenie „oblatek od serca Jezusowego“ z Ludwiką de Montaignac na czele, pragnąłby szkółki tego samego rodzaju rozpowszechniów Galicyi. I istotnie, powstała już w mieście naszem szkoła „Dzieciątka Jezus,“ odpowiadająca planom roztropnego ks. Zbyszewskiego. Oblatki Montluçon podjęły się kształcenia u siebie nauczycielek dla niej, nadto przyrzekają im utrzymanie na starość we Francyi. Szkółka przyjmuje czworo dzieci na rok. Pobierać one będą od nauczycielek niższe cztero-klasowe „wykształcenie“ i zdawać corocznie egzaminy przed nauczycielami szkół publicznych. Jeżeli do owego czasu nie utworzy się w Galicyi nowe małe seminaryum, dzieci, niestety, przejść będą musiały do gimnazyum. Naturalnie, że i natenczas zamknie się je „w skromnym internaciku“ pod kierunkiem odpowiedniego kapłana. Szkółka jest bezpłatna, rodzice mają jedynie obowiązek zaopatrzenia syna w bieliznę i ubranie, a nadto — obowiązek zwrócenia szkole 120 złr., gdyby bez jej zgody syna odebrali.

Ferropar.

STANISŁAW WOLSKI.

(Wspomnienie pozgonne).

W ciągu paru tygodni zeszło ze świata trzech ludzi, których choroba duchowa wyrwała społeczeństwu za życia. Po Kronenbergu i Pillatim podążył Stanisław Wolski w wieku, który przy normalnych warunkach stanowi rozkwit i pełnię sił — liczył tylko 35 lat, z których dwa ostatnie pochłonęło cierpienie, roztoczywszy mroki przed umysłem twórczym, rwącym się gorączkowo do pracy. Artysta urodził się w Warszawie 8 kwietnia 1859 r. Pierwsze nauki pobierał na pensyi prywatnej; wcześnie zaś poczuwszy zamiłowanie sztuki, wstąpił do miejscowej szkoły rysunkowej, a odznaczywszy się w niej szybkimi postępami, przeszedł do szkoły sztuk pięknych w Krakowie, gdzie przez pewien czas pracował pod okiem Matejki. Tam namalował wiele obrazków rodzajowych, zjednał przychylną ocenę i świetne wróżby krytyki. Po kilkoletnich studyach w powyższem mieście, udał się kosztem dr. Jordana do Akademii monachijskiej, która wpłynęła na znaczny rozwój jego talentu. Pracował usilnie, gorączkowo; z największem zamiłowaniem odtwarzał sceny myśliwskie. Żywość barw, układu i scen zjednywała mu miłośników, którzy chętnie nabywali jego utwory. Może dlatego właśnie artysta rozpraszał się na drobiazgi, obrazki, szkice i rysunki, co nie pozwoliło zaznaczyć i utrwalić siły jego talentu w jakiemś większem dziele.

LIBERUM VETO.

O czem nie wiedzą dzieci w Bostonie i o czem wiedzą nasze. — Miasto jako świat. — Dzieci nasze i ubogie. — Ich szczęście. — Podrzutki i ich upodobania. — Dziennikarstwo amerykańskie, jego grzechy i cnoty całkiem obce naszemu. — Projekt zamiany.

Aż lżej na sercu! Przy badaniu dzieci, wstępujących do szkoły w Bostonie, przekonano się, że na stu sześciolatków: 14 nie widziało nigdy gwiazd (?), 45 nigdy nie było na wsi, 20 nie wiedziało, że mleko daje krowa, 55 nie wiedziało, że przedmioty drewniane wyrabiają się z drzew, 15 nie umiało nazwać kolorów zielonego, niebieskiego i żółtego, 47 nie widziało nigdy wieprza itd. Powtarzam: aż lżej na sercu, że w łonie społeczeństw wysoko ucywilizowanych i używających olbrzymiego dobrobytu leże się taka niewiedza. Bo na mocy szczególnego prawa psychologicznego, świadczącego o wielkiej szlachetności natury człowieka, cudze nieszczęście sprawia ulgę własnemu. Jakie rozwinięcie umysłowe posiadają nasze dzieci sześcioletnie, tego nikt nie próbował ująć w cyfry statystyczne; zdaje mi się jednak, że bardzo przypominają bostońskie. Z wyjątkiem może tych, które nigdy nie widziały gwiazd, co przypisać trzeba jakiejś dziwnej ich hodowli, inne kategorye odnaleźlibyśmy u siebie, zwłaszcza śród ludności wielkomiejskiej. Do 10 mniej więcej roku życia dzieci miejskie są głupsze od wiejskich, później stosunek ten odwraca się przynajmniej pod względem oświaty. Nie może być inaczej zarówno skutkiem warunków życia, jak i naszych wymagań umysłowych. Dziecko klas niższych, które widzi tylko suterenę, podwórko, skrawek nieba i kalejdoskop uliczny, dziecko klas wyższych, którego widnokrąg rozszerzony jest tylko widokiem umeblowanych pokojów, wystaw i ogrodów spacerowych, nie może być rozwinięte. Zresztą nam o jego rozwój przyrodoznawczy wcale nie chodzi.

Gdyby ukształcony mieszczuch zdradził nieznajomość daty pokoju westfalskiego, zapłonąłby wstydem; tymczasem z pewną brawurą przyzna się, że nie umie odróżnić żyta od pszenicy i kozy od owcy. Dziś nad światem panuje miasto a nad wiedzą — jego mądrość. Wieśniak jest niższym gatunkiem ludzkim, który usiłuje wydobyć się ze swego upośledzenia za pomocą zbytku, okazałości zewnętrznej, dwornego życia, przebywania w stolicach i podróży zagranicznych. Jemu i wszystkim się zdaje, że wielkomiejski kelner lub kancelista jest istotą doskonalszą, wyższą, inteligentniejszą, aniżeli właściciel lub dzierżawca folwarku, nie mówiąc o koloniście. Cała nasza kultura obyczajowa, towarzyska i umysłowa stara się możliwie zabarwić życiem wielkomiejskiem, z którego czerpie wiedzę, ogładę, zwyczaje, mody itd. Co to jest właściwie „świat,“ o którym ciągle mówimy? Czy to jest kula ziemska, a przynajmniej jej obszary zajęte przez cywilizacyę? Czy w skład tego pojęcia wchodzą wszystkie te twory i istnienia, które napełniają widzialną przestrzeń? Nie, świat są to miasta, które o wsiach raczą sobie przypominać tak, jak o śpiżarniach—w potrzebie. Nie czując wartości wszystkiego, co po za niemi się rozpościera, nie czują również krzywdy, jaką wyrządzają tym, których pozbawiają przedmiotów swego lekceważenia. Są ludzie, którzy nawet nie pojmują, jak można żyć na wsi. Czyż oni zdołają zrozumieć, że krzywdzą dziecko, skazując je na bruk miejski? Stąd owe kaleki, które nie widziały nigdy łanów zboża, krowy lub drzewa, nie budzą w „świecie“ tego współczucia, na jakie zasługują.

Od lat kilku my, zwolennicy turkotu, kurzu, spacerów po spieczonych kamieniach i katakumb z żywemi ciałami, uświadomiliśmy sobie potrzebę wysyłania dzieci na wieś. Swoje, wystroiwszy z możliwą elegancyą, prowadzamy po deptakach letnich mieszkań, które tem bardziej są uczęszczane, im bardziej przypominają miasto; biedne zaś umieszczamy w koloniach dobroczynnych. Szczęście ostatnich jest często większe, ale zawsze krótsze, bo trwa zaledwie parę tygodni. Przez ten czas jednak mogą się one wybiegać, wykąpać, wytarzać w piasku i na trawie, nasycić oczy widokiem drzew, zbóż i kwiatów. W tym roku pojedzie większa ich gromada, niż zwykle, ale pozostał jeszcze spory zastęp, dla którego zbrakło pieniędzy.

Gdyby ich zalała woda, jak przyrodników w grocie styryjskiej, gdyby jęknęli głośno skargą głodu lub bólu, może byśmy dla uratowania ginących sypnęli szczodrzej grosze jałmużnicze. Ale sprawiać biedakom świeże powietrze — to nie wzrusza naszych serc wielkomiejskich. Bo to w naszych oczach nawet nie zbytek, ale jakieś dziwaczne, prostacze upodobanie. Zapytajmy bankiera, przemysłowca, kupca, każdego wreszcie rzetelnego mieszczucha, który tak ukochał swoje środowisko, jak żaba błoto: czy chciałbyś pan położyć się na pachnącej łące albo w cienistym lesie? Wytrzeszczyłby na nas oczy tak, jak gdybyśmy mu zalecali, ażeby pozwolił się osiodłać. Co to za głupia przyjemność! Słońce piecze, komary tną, ani porządnej restauracyi, ani dorożki, a z kim zagrać w wintą? Z pastuchami? Porządny warszawiak, jeśli nawet w niedzielę jedzie do żony i dzieci na letnie mieszkanie, to bierze z sobą w kieszeń karty. Inaczej zanudziłby się z tą „głupią naturą.“

Człowiek ucywilizowany, nawet taki, który zatkał sobie większe dziury w mózgu zadrukowanym papierem, jest względnie istotą umysłowo daleko ułomniejszą, niż dziecko. Ono bowiem lepiej odczuwa i rozum i pieszczoty tej mądrej i troskliwej matki, którą mieszczuchy nazwali „głupią.“ Najwytworniejszy salon nie zastąpi mu trawnika, najwspanialszy gmach — kopuły nieba. Pisma doniosły, że skutkiem przepełnienia w przytułku Dzieciątka Jezus po troje dzieci musi leżeć w jednej kołysce. Przenieście je do żłobków napełnionych świeżem sianem, dajcie im czystego powietrza i czystego mleka, zobaczycie, jak się uśmiechną i jak poznają, że je przycisnęła do swych piersi ta jedyna matka, która je uznaje za prawe i nie wyróżnia piętnem hańby od innych. Nie oddałyby one tej prostej rozkoszy za wszystkie zbytki życia miejskiego, świergotu ptactwa — za najartystyczniejsze koncerty, słońca — za najrzęsistsze światła żyrandolów, a woni polnego kwiecia — za najwymyślniejsze pachnidła. Niestety, małe biedactwo, zbierane po rynsztokach i podwórzach domów, nie dozna tych pieszczot matki-natury i przyszedłszy na świat niewinnością, musi na niem odrazu rozpocząć pokutę występku. I my nietylko patrzymy na to ze spokojnem sumieniem, ale mówimy często — jak pewna zacna dama: mieć dzieci nieprawe, to jeszcze można przebaczyć; ale przyznawać je, kochać, kształcić — to już cynizm.

Nikt nie powinien brać nam tego za złe, że z głębokiem zadowoleniem piętnujemy cudze winy, których my nigdy nie popełniamy. Taką właśnie ucztę sprawiliśmy sobie niedawno, wystawiwszy na pokaz brudy dziennikarstwa amerykańskiego, które nie dotknęły naszej czystości. Bo posłuchajcie, co się tam dzieje. Według niejakiego p. Kellera, zadaniem prasy amerykańskiej jest: kupić za 3 centy białego papieru i pobrudziwszy go skandalem, sprzedać za 10 cent. Niejaki znowu Speed obliczył, że gazeta „Tribune“ zamieściła w numerze z d. 17 kwietnia 1881 r.: artykułów religijnych 2, literackich 15, plotkarskich 1, skandalicznych — ani jednego. Natomiast d. 16 kwiet. 1893 r.: artykułów religijnych nie było wcale, literackich 5, plotkarskich 23, skandalicznych 4. W Ameryce (co za szczególny kraj!) dziennikarstwo stało się wydawnictwem nowin. Każda gazeta stara się dostarczyć ich jak najwięcej pod najbardziej zaciekawiającymi tutułami, np.: „Czterdzieści dni głodu śród błot,“ „Utonął, ażeby wygrać zakład o 5 dolarów,“ „Spowiedź zbrodniarza“ i t. p. Rozumie się, gdy zbraknie wypadków prawdziwych, reporterzy (co za szczególni ludzie!) pomieszczają zmyślone. Czyż potrzebuję zapewniać czytelników, że dziennikarstwo europejskie nie żyje z nowin i gardzi skandalem? Czyż potrzebuję stwierdzać fakt powszechnie znany, że nasza prasa codzienna nie łowi drobnych rybek plotkarstwa i że nasz reporter uważałby za ubliżenie swemu honorowi, gdyby opisał jakiś wypadek zmyślony. Czy kto u nas czytał takie sprostowania: w nr. X doniesiono, że w wiosce Trąd chłopak, wybierając jajka gołębie z kopuły kościoła, spadł i zabił się na miejscu i że ludność widzi w tem palec boży; po bliższem sprawdzeniu okazało się, że wieś Trąd wcale nie istnieje, że w niej przeto nie ma kościoła i jaj gołębich w kopule, a więc żaden chłopak tam zabić się nie mógł. Czy my coś podobnego u nas czytaliśmy? Nigdy! To czysto amerykańskie.

Prasa Nowego Świata stara się te grzechy swego sumienia odkupić zapomocą ofiar: zakłada własnym kosztem szpitale, szkoły, kolonie dla biednych itd. Nie dopuszczając się jej grzechów, nie jesteśmy obowiązani do ofiar. A jednakże czybyście, czytelnicy, nie zgodzili się na przeszczepienie dziennikarstwa amerykańskiego wraz ze złem i dobrem? Co do mnie — zaryzykowałbym. W gazetach naszych wyrosłyby bujnie nowinki, plotki, skandale—z czego je dziś tak starannie pielemy, że chyba nikt nie dostrzegł u nas tego ziela — ale mielibyśmy szpitale, kolonie dla biednych itd. Wyobraź sobie, czytelniku, że kiedyś wyczytałbyś o sobie taką potwarz: pan X. X., który zbyt często napomina innych, powinienby przypomnieć sobie obowiązek względem swego nieprawego syna, który w Mokotowie pasie gęsi. A pod spodem: redakcya nasza przeznacza 50,000 rs. na przytułek dla podrzutków. Czyżbyś jej nie przebaczył tego syna w Mokotowie? Ależ chyba z największą gotowością. Niech kłamie, aby przytem dobrze czynił, gorzej, gdy kłamie i nic dobrego nie robi, jak to się zdarza w pewnych zakątkach Europy, do których zwyczaj amerykański dosięgnął tylko jednym końcem — plotkarskim.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Lublin. Dnia 13 maja odbędzie się tu wystawa koni włościańskich, urządzona przez główny zarząd stadnin państwowych. Przyjmowane będą wałachy i klacze 4, 5 i 6-letnie, tudzież źrebaki, urodzone 1893 r., stanowiące własność włościan, kolonistów i mieszczan, zajmujących się rolnictwem. — Instytut agronomiczny w Nowej Aleksandryi otrzymał zasiłek od rządu na zaprowadzenie porządków w doświadczalnej fermie leśnej i na zakup narzędzi potrzebnych. — Projekt urządzenia telefonów w Lublinie jest już blizki czynu. Obecnie urząd pocztowy zbiera deklaracye od osób pojedynczych i instytucyj. Stacya centralna mieścić się będzie w gmachu poczty. Opłatę roczną rs. 75 w pierwszym roku uiszczać trzeba jednorazowo z góry; w latach zaś następnych co pół roku. — W r. z. właściciel dóbr Raciborowice (gub. lubelska), p. Wydżga, znalazł na gruntach sweich glinę, przydatną do wyrobu „klinkieru“ (cegły trwałej, używanej do budowy szos); chcąc więc założyć odpowiednią fabrykę, poczynił starania i prosił inżenierów gubernialnych o gwarancyę, że po wybudowaniu zakładu do robót szosowych będzie używany wyłącznie jego materyał. Jednocześnie zaznaczył, że przy użyciu tej cegły w miejsce kamienia dotychczasowego, roboty szosowe będą kosztowały o połowę taniej. „Pomimo tak dogodnych warunków — pisze korespondent *Wieku*—inżenierowie gubernialni gwarancyi wydać nie chcieli, wskutek czego p. W. stawiania fabryki na ryzyko zaniechał, ku uciesze chyba żydów entreprenerów. Ci rzeczywiście nie zarabialiby wówczas tyle, ile dziś, gdy budowa jednej wiorsty szosy w naszym powiecie (hrubieszowskim) kosztuje blizko 2,000 rs.! Ale jakże wiele skorzystaliby mieszkańcy całej okolicy, którzy co rok nie o jedną, ale o trzy wiorsty mieliby więcej szosy.“

Piotrków. Mieszkańców żywo zajmuje w obecnej chwili sprawa oświetlenia miasta gazem. Komisa, utworzona z obywateli miejscowych dla zawarcia umowy z Towarzystwem akcyjnem, odbyła przed kilku dniami obrady, na których zarysowano ogólny plan w sposób następujący: Na początek powstanie 200 latarni, za które miasto płacić będzie 21—23 rs. rocznie za każdą. Przedsiębiorcy zobowiązują się całe urządzenie zrobić własnym nakładem, po latach zaś 50 oddać na rzecz miasta. W porównaniu z obecnym kosztem lamp naftowych, gaz niewiele będzie droższy. Obrady pięknie się potoczyły, projekt całkowicie ułożono i już piotrkowianie cieszyli się myślą, że za parę miesięcy mroki wieczorne i nocne znikną, gdy naraz *Tydzień* cisnął im smutną i wielce charakterystyczną wieść: „Sprawa oświetlenia Piotrkowa gazem zaledwie się urodziła, już umierać się zdaje.“ Powodem jest chwiejność przedsiębiorcy, który nie ma odwagi rozwinąć szerszych działań. Niech mieszkańcy poczekają trochę, może za parę lat przyjdzie im z pomocą światło elektryczne. Ze względu na wielki rozwój tego ostatniego, sądzimy, iż nie należy w umowie związywać się 50-letnim terminem monopolu jednego rodzaju oświetlenia. — Prezes Towarzystwa kredytowego, p. Skórzewski, w majątku swoim, Chełmie pod Radomskiem, na użytek kolonij letnich ofiarował bezpłatnie pomieszczenie dla 25 dzieci. — Według zapewnień *Tygodnia*, magistrat w Radomsku postanowił część gruntów do miasta należących oddać bezpłatnie przemysłowcom na wła-

sność, aby na nich zakładali fabryki. — W majątku p. Jaśkowskiego, Chociwiu pod Rawą, powstaje wielka krochmalnia.

Kalisz. Dnia 12 z. m. otwarto tu targ na inwentarz, wielce zasobny w doborowe bydło i piękne konie tudzież barany „czystej krwi.“ Najwybitniejsze miejsce zajął p. Kurnatowski z Brudzewa pod Kołem, który nadesłał woły i krowy w przednich gatunkach [oraz jałowiznę roczną, jako wynik obory, racyonalnie prowadzonej. Ceny stosunkowo niezbyt wysokie: bydło po 120 rs. za sztukę, jałowizna po 60. Zwraca również uwagę stajnia gosławicka hr. Kwileckiego (stadniki półtoraroczne rasy holenderskiej). Z działu owiec również owczarnia gosławicka pierwsze miejsce zajmuje. Między innemi wielce ciekawa i bogata jest wystawa mleczarni skalmierzyckiej. Maszyny rolnicze reprezentowane były przez dwie firmy.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRAWO PROPINACYI.

IV.

Z kolei przejdźmy do zarysów monopolu państwowego w handlu spirytusowym, który za lat parę ogarnąć ma całe państwo. Dotychczas całkowicie tych przepisów jeszcze nie obwieszczono; postaraliśmy się więc tylko zebrać jego cząstki, ogłoszone urzędowo (w *Wiestn. finans.*) i stanowiące niejako treść zasadniczą całej reformy. Jakośmy nadmienili z początku, nowe prawo będzie wprowadzone tylko w czterech guberniach wschodnich (permskiej, ufimskiej, petersburskiej i samarskiej), po czem rozszerzy się w całem państwie. Według zasad już naszkicowanych, rząd nie zamyka gorzelni prywatnych, istniejących obecnie, ani też zamierza krępować wznoszenia nowych. Otwiera atoli własne gorzelnie, rektyfikacye i składy, cały zaś spirytus wytworzony w fabrykach własnych i prywatnych, zakupuje do swych składów. Te ostatnie będą otwierane stosownie do zaludnienia danej miejscowości o różnej skali produkcyi — od 150,000 wiader do 300,000. Rozsiano będą w ten sposób, iżby zasilanie spirytusem sklepów nie pociągało za sobą trudności. Składy będą rozsyłały wódkę mocy 40% do sklepów rządowych dla sprzedaży, liczba zaś tych ostatnich zależną będzie od liczby ludności; przy czem ministeryum skarbu trzyma się zasady, że należy je otwierać tam, gdzie szynki istnieją obecnie, z wyjątkami miejscowości o małem zaludnieniu albo położonych nieopodal wsi, w których będą już sklepy rządowe. Ogółem w czterech guberniach wschodnich powstanie około 4,000 takich sklepów. Zasadą więc monopolu będzie skarbowa produkcya i rektyfikacya we własnych zakładach rządowych; nabywanie przez rząd całej produkcyi spirytusu prywatnych gorzelni i zakładów rektyfikacyjnych; gromadzenie całego zapasu spirytusu we własnych składach i wreszcie sprzedawanie go we własnych sklepach, jako trunku 40%, pozbawionego olejków szkodliwych.

Pomimo tak szerokich działań, skarb nie tamuje prywatnej sprzedaży wódki; przeciwnie — nawet do pewnego stopnia ją popiera; zniża bowiem znacznie cenę patentów dla osób, pragnących posiadać „traktyernie wiejskie,“ bufety, między innemi i na stacyach kolejowych. Ale za to szynki prywatne w dzisiejszej postaci, jak wnosić należy, znikną zupełnie, a natomiast powstaną powyżej wymienione miejsca sprzedaży, w których wódka musi być nabyta ze składu rządowego, oczyszczona i sprzedana nie podług cen dowolnych, lecz regulowanych według cen w składach rządowych. Naturalnie zniży to dochody właścicieli zakładów prywatnych; stosowną zaś w tym względzie bonifikacyą ze strony rządu będzie znaczne zniżenie ceny patentów. „Traktyernia wiejska,“ opłacająca teraz 200—900 rs., płacić będzie tylko 25—50, bufet zamiast 50, — 15, bufet stacyi kolejowych zamiast 50 — 200, płacić będzie rs. 10. Wszystkie traktyernie zmienią znacznie swój charakter; będzie w nich (nie wyłączając i hotelów pierwszorzędnych) dozwolona sprzedaż jedynie jadła, piwa, miodu i win, ale nie „trunków spirytusowych.“ Te ostatnie można sprzedawać tylko na mocy wyłącznego pozwolenia zarządzającego akcyzą za porozumieniem się z gubernatorem. W ostatnim wypadku wszystkie zakłady tego typu dzielić się będą na dwie kategorye: do pierwszej należeć mają traktyernie, prowadzące handel za świadectwami gildyjnemi. Mogą one sprzedawać trunki spirytusowe kieliszkami po cenach dowolnych. Gdyby atoli gość zażądał wódki butelkę, pół, lub setną część wiadra, właściciel pobiera podaną w opieczętowaniu tylko cenę rządową, tj. tyle, co sam zapłacił (składy rządowe żadnych ustępstw nie dają). Traktyernie drugorzędne mogą także otrzymywać pozwolenie na sprzedaż wódki, lecz nie kieliszkami ale „do wyniesienia“ lub wypicia, pod warunkiem, że w ostatnim wypadku będzie podaną gościom w naczyniu zapieczętowanem. Taksa jedzeń w takich zakładach również będzie zatwierdzana przez zarządzającego akcyzą i powinna być wywieszaną na widocznem miejscu.

W powyższych zakładach jadłodajnych, podlegających wpływowi monopolu, zjawi się, jako wytwór tego ostatniego, nowy pracownik-subjekt, opłacany przez skarb, ze względu, że handel wódką i trunkami spirytusowymi nie może przynosić właścicielom traktyerni żadnych zysków. (Mowa tu o drugorzędnych, gdzie nie wolno sprzedawać na kieliszki). Handel trunkowy podlegać będzie kontroli naczelnika ziemskiego, policyi, dozorców akcyzy i specyalnych agentów z zarządu akcyzy. Personel urzędniczy tych zarządów będzie powiększony o 10—11 posad kontrolerów.

W zakresie sprzedaży trunków spirytusowych, wytwarzanych przez firmy istniejące tam, gdzie monopol nie sięgnie (zapewne czasowo) obowiązywać mają przepisy następujące: Właściciel zakładu, gdy zechce sprowadzić wódkę owej firmy, musi prosić zarząd akcyzy o udzielenie na to stosownego pozwolenia. Zarząd sam sprowadza żądaną ilość wódki, obciąża każdą butelkę specyalną opłatą i określa cenę, za jaką trunek może być sprzedany w zakładzie. Cena wódki firmy prywatnej będzie się równała cenie wskazanej przez ową firmę, plus opłata, określona przez zarząd akcyzy. Właściciel zakładu, sprowadzający taką wódkę, nie ma prawa sprzedawać jej ani drożej ani taniej, ale tylko wedle rządowej etykiety na butelkach. W takich warunkach wódka mogła by być kupioną przez właściciela zakładu u firm prywatnych za cenę niższą. Dla zapobieżenia atoli temu, iżby nie sprowadzano zbyt wiele wódki, źle oczyszczonej, wysokość opłat, przez zarząd akcyzy będzie zawsze określana w stosunku odwrotnym do wysokości ceny zadeklarowanej. Środek ten ma na celu wyparcie złych niższych gatunków wódki, tudzież — przeciwdziałanie współzawodnictwu tej kategoryi trunków z wódką rządową.

Jednym z ważnych szczegółów nowej organizacyi będą „kuratorye,“ które oprócz przestrzegania prawidłowej sprzedaży trunków, mają szerzyć zdrowe pojęcia o szkodliwości pijaństwa, urządzać stosowne odczyty i troszczyć się o leczenie osób, dotkniętych pijaństwem chorobliwie nałogowem.

To jest mniej więcej ów szkielet prawa, które ma się stać obowiązującem w całem państwie. Z tego powodu już dziś stoi na porządku sprawa bonifikacyi tej wielkiej liczby ludzi, którzy stracą swe przywileje propinacyjne. Te ostatnie *Birż. wied.* doradzają traktować dwojako, ze względu: 1) że prawo propinacyi pochodzi z nadań królewskich, 2) że posiada stronę ogólnoprawną, gdyż właściciele ziemscy w licznych wypadkach wyzyskiwali to prawo, bądź drogą dzierżaw, bądź sprzedaży itd. Dziennik powyższy przypuszcza, że taki stan rzeczy będzie przyjęty za podstawę przy skupie prawa propinacyi przez skarb, z wymaganiem specyalnego udowodnienia tytułów do prawa. „Jest dowód prawny — skup nastąpi; nie ma dowodu — nie ma też i tytułu do zapłaty za źródło dochodu, który przy istnieniu monopolu wódczanego musi być skasowany.“ Inaczej na tę rzecz zapatruje się *Warsz. Dniewnik.* Zdaniem jego, prawo propinacyi nie może mieć jakichś dwóch stron, że od czasu, gdy je posiadł właściciel ziemski, służyło mu ono i służy właśnie z tytułu niepodzielności władania; że nie może być mowy o udowodnieniu nadaniami królewskiemi tytułów do prawa, skoro ono nie jest ograniczone zastrzeżeniami hypotecznemi i ma sankcyę prawodawczą w takim akcie, jak reskrypt najwyższy z r. 1865 o urządzeniu włościan.

Zachodzi jeszcze pytanie, jakie będą przyjęte zasady bonifikacyi przy skupie? Prezes komisyi propinacyjnej, towarzysz ministra skarbu, p. Antonowicz, z góry zaznaczył konieczność odszkodowania, ale o jego wysokości i formie nic jeszcze nie powiedziano. Gdy sięgniemy do przeszłości, przekonamy się, że przy zasadniczych reformach agrarnych w większości wypadków odszkodowanie jednych za prawa nadane innym (na podstawie aktów prawodawczych) obliczano przez skapitalizowanie wartości utraconych praw lub pożytków w stosunku 6% rocznie. (Indemnizacya za grunty, przeszłe na rzecz włościan, wynagrodzenie dziedzica przy zniesieniu stosunków dominialnych w miastach, wykup czynszów wieczystych, zniesienie pańszczyzny w 9-ciu guberniach zachodnich). Trudno atoli przypuszczać, iżby całkowicie ta zasada i teraz była przyjęta, chociażby ze względu na zmienność skali procentowej. Zdaniem *Słowa*, słuszną podstawą rachunku byłoby przyjęcie mnożnika 25. Ale i przy takiej kapitalizacyi dochód z kapitału nie wyrównałby jeszcze dochodowi rocznemu z propinacyi, gdyż uszczuplałby go zarówno podatek od wartości kuponów (5%), jak i różnica kursu nowego papieru wartościowego (5%). Do trudniejszych spraw będzie należeć jeszcze określenie dochodu, który dominium ciągnie z propinacyi w wypadkach gdy ta jest w dzierżawie.

Jak widzimy, nowe prawo będzie się przedzierać przez drogi zawiłe, których mnogość dopiero w praktyce się okaże. Nadto, monopol państwowy wywoła przewrót w wielkim odłamie warunków ekonomicznych, do których wciągnięte są setki tysięcy różnorodnych handlarzów, wytwórców i oficyalistów.

Z. P.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Wydano rozporządzenie, aby przywożone z zagranicy przedmioty z wizerunkami z zakresu kultu religijnego, przesyłane były bezpośrednio do cenzury duchownej dla orzeczenia, czy mogą być przepuszczane lub skonfiskowane.

— Stopień inżeniera lub budowniczego posiadają ci tylko, którzy ukończyli odpowiednie zakłady naukowe. Tymczasem mnóstwo osób używa tych tytułów nieprawnie i ogłasza się z nimi w kalendarzach lub

innych wydawnictwach. W ostatnich czasach władza zwróciła na to uwagę i postanowiła ścigać winnych.

— Waga dziesiętna, przyjęta oddawna za granicą, r. b. staje się obowiązującą w Rosyi dla lekarzy i aptekarzy.

— Dla udających się na letnie mieszkania nie powinna być obojętną wiadomość, że nawet w gminach, graniczących z miastem (Mokotów, Czyste, Młociny, a po prawej stronie Wisły: Brudno i Wawer), wymagane są od stałych mieszkańców Warszawy bilety na prawo pobytu w letnich siedzibach, od mieszkańców zaś niestałych — zwyczajne pasporty krajowe. Wyjątek stanowią posiadacze gruntów w okolicach podmiejskich. Bilety powyższe, wydawane przez policyę bez obowiązku zaopatrywania się w pasporty, przyjmowane są tylko w obrębie powiatu warszawskiego; dalej — potrzebne są pasporty.

— Według ostatnich obliczeń, na 78,000 mieszkańców Krakowa, liczba adwokatów wynosi 75.

Szkoły. Ministeryum oświaty zaproponowało kuratorom okręgów naukowych, aby na przyszłość o ile możności powierzali posady nauczycieli języków starożytnych, historyi, geografii, tudzież języka ruskiego w gimnazyach, progimnazyach i szkołach realnych wychowańcom uniwersytetu petersburskiego tudzież instytutu nieżyńskiego, gdzie istnieją specyalne seminarya praktyczne historyczno-filologiczne.

Zdrowie publiczne. Rada państwa zatwierdziła prawo przeciwko podrabianiu wszelkich produktów spożywczych.

Wypadki. Siedmiu przyrodników udało się w góry Styryjskie dla zbadania ujścia strumienia we wnętrzu groty Lugloch około Gracu, gdy nagle silna ulewa oderwała ich zupełnie od świata. Szyja, stanowiąca wejście do górnej części jaskini, zatkała się pniami, kawałkami drzewa i mułem. Ze wszystkich stron Austryi pośpieszyły posterunki na pomoc, przez parę dni próbowano różnych sposobów, a tymczasem ulewa nie ustawała; krewni i przyjaciele rozpaczali bezsilni; wszelkie owoce mozolnej pracy ludzkiej natychmiast porywała i burzyła woda. Za najradykalniejszy środek uznano bicie tam, ale na to nie chciała zrazu zgodzić się ludność włościańska, aby im zasiewów nie niszczono, nie rujnowano ich materyalnie; dopiero zezwoliła, gdy ktoś zagwarantował pokrycie strat. Nareszcie 7 b. m. po dziesięciu dniach podłożona mina rozwarła otwór w skale. Przy wielkich trudnościach zdołano wydobyć zamkniętych, wycieńczonych i zgłodniałych. Ocaleni, wyszedłszy na powietrze, pomdleli.

Odpowiedzi Redakcyi.

Perle. Intercyza, o ile zawarta została formalnie, jest aktem, obowiązującym obie strony, jak każdy akt rejentalny. Ponieważ wchodzą do niej szczegóły, których nie znamy i których tu rozważać nie moglibyśmy, więc niech Pan po radę w kwestyach wątpliwych zwróci się do adwokata.

Botanikowi. Książka Rostafińskiego. Właściwie: „do widzenia się z panem,“ inne formy są dziwolągami.

Panu L. W. we Lwowie. Istotę i znaczenie folkloru wyjaśnialiśmy już czytelnikom naszym; z nadesłanego więc artykułu nie skorzystamy.

Panu St. G. w Berlinie. Rękopis odesłaliśmy do redakcyi „Ateneum.“

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 29 Апрѣля 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.